

B L U S Z C Z

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 44

TREŚĆ NUMERU: Żywi umarłym. Ku uzdrowieniu—*Stefanja Podhorska-Okolów*. W chwili obchodu ćwierćwiecza—*Natalja Jastrzębska*. Powązki—*Tekla Knoll-Wittigowa*. Poezje: „Nad grobem pani Bécu—*Zofja Rościszewska*. „Ten pierwszy grób z brzegu“—*J. Putiatycz-Surynowa*. Pod strażą świętego Michała—*S. P. O.* Co się dzieje w sporcie kobiecym—*Emka*. Z życia muzycznego—*P. L. Ś. p. Włodzimierz Perzyński—S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Co nam dał pierwszy Zjazd Pań Domu—*Wanda Dobrzańska*. „Przy mężu“ i „Pani Domu“—*Ewa*. Jedność (Einigkeit)—*Pani Elżbieta*. Chcieć—to móc—*Marzenna Saryusz-Stokowska*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“: Jak zaradzić złemu—*Well*. Dodatek powieściowy: „Margot między górami“—(dokończenie)—*Wł. Wasilewska*. Arkusz wzorów.

ŻYWI UMARŁYM

Minęły czasy, gdy z mogił tylko biło na Polskę źródło siły, wytrwania i nadziei.

Odrwaliśmy kamień grobowy — wyszliśmy z katakumb na słońce. Skończyła się podziemna robota zwyciężonych, zaświtał pracowity dzień ludzi wolnych i radosnych. Nie wstecz się nam dziś oglądać, ale naprzód iść z ramionami, wyciągniętymi ku słońcu Jutra.

W tym zdobywczym pochodzie nie wolno nam jednak deptać po grobach, w których spoczywają prochy myśli, zetłonej w poszukiwaniu prawdy, uczuć, przepalonych w ogniu szlachetnego zapału, porywów, złamanych w nierównej walce ze złem, z podłością i hańbą świata.

Nierozermalne i święte są węzły, które nas łączą z przeszłością. Ogniwem tylko jesteśmy w długim łańcuchu zjawisk. Liśćmi dziś jesteśmy i kwiatami na tem drzewie, którego oni, ci, co odeszli, korzeniami są i pniem dostojnym. I my podlegamy poroszechnemu prawu rozwoju i przemiany. I nas kiedyś wichur jesienny, jako jabłka dostaje, z drzewa życia strząśnie. Baczmy, abyśmy nie padli na ziemię cmentarną, jako owoc zgnili i robaczymy, abyśmy jej nie zasłali piachem jałowym, ale żyzną próchnicą pod zagaje przyszłych pokoleń...

Te światła, co się dziś po cmentarzach palą, są nietylko dorodem pamięci żywych: one są odbłaskiem tego żaru, który płonie w mogiłach umarłych. Śmierć zasklepiała ich rany serdeczne, ukoilił nienasycone za życia pragnienia, dała odpowiedź na wszystkie pytania, zmasała winy, rozwiązała pęta, naprawiła ich błędy. Nam, potomnym, zostawiła drogocenną spuściznę: w ogniach nieśmiertelności oczyszczony dorobek zmarłych.

Otwórzmy dziś serca nasze na przyjęcie tego świetlanego skarbu. Dajmy posłuch prawdzie.

Uprzytomnijmy sobie, że nie fanatyzm, ale wielka miłość ojczyzny zrodziła prorocтва Skargi, że nie dworskie ambicje i miłostki, ale ból rodzicielski unieśmiertelniły Kochanowskiego; że nie zjadliwość, ale szlachetne oburzenie i dziejowa mądrość Naruszewicza, nie rewolucyjna zaciekłość, ale rozum polityczny Kollataja, nie demagogja, ale czystość intencji i myślowa głębia Mochnackiego, nie młodzieńcza lekkomyślność, ale rycerski honor księcia Józefa, nie mistyczny obłęd, ale miłość i wiara Mickiewicza naznaczyły ich czoła niestartym stygmatem zasługi, bohaterstwa, czy geniuszu i wprowadziły ich do pantheonu wielkich duchów świata, przodowników idei, nauczycieli ludzkości.

Nie każdemu z nas danem będzie osiągnąć te wyżyny, na których oni stanęli, ale każdemu z nas mogą i powinny przyświecać te same gwiazdy czystości myśli, bezinteresowności uczuć, prawości czynów, które dziś na ich grobach się palą.

Składając hold ich pamięci, jako zmarłych, złożmy im to przyrzeczenie, jako żywi — żywym w nieśmiertelności.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

KU UZDROWIENIU

Cały dzisiejszy świat cywilizowany drży w posadach od wstrząsów wewnętrznego fermentu. Źródła tego podziemnego wrzenia leżą głębiej, niżby się napozór zdawało; tkwią może w istocie samej nowoczesnych organizmów państwowych i społecznych. Zасыpywanie tych źródeł, czy zamurowywanie ich nie pomoże; muszą one przejść właściwy proces chemiczny, który skończyć się musi albo wybuchem, albo krystalizacją nowych form życia zbiorowego. Musimy sobie jednak zdać sprawę, że stoimy wobec wielkiej, a może groźnej niewiadomej, jaką jest przyszłość naszego młodego państwa.

Dwa są najbardziej rzucające się w oczy i dla chwili obecnej znamienne objawy fermentu: kryzys ekonomiczny i kryzys parlamentaryzmu, które szczegółowo rozpatrzyła p. Eugenia Waśniewska w swoim referacie na niedzielnej Akademii Kobiecej w Warszawie urządzonej przez Wyborczy Kom. Stoł. Org. Kob.

Kryzys ekonomiczny jest plagą tak powszechną, że ogarnął nawet najpotężniejsze państwa, najmocniej dotychczas stojące na gruncie gospodarczym. Dowodem Anglja, ściśnięta, jak w kleszcze, z jednej strony klęską bezrobocia, z drugiej — skurczeniem się rynków eksportowych; dowodem ucieczka kapitałów w Niemczech, dowodem Stany Zjednoczone Ameryki Półn., gdzie zachwiany dolar sygnalizuje niebezpieczeństwo: działanie nurtów podziemnej konkurencji ekonomicznej.

Polska narówni z innymi państwami ciężko przeżywa ten kryzys; przeżywa, ale się z niego dźwiga. Suma bezrobotnych, licząca się u nas nie na miliony, jak w Anglji, ale na tysiące, stopniowo maleje; natomiast wzrasta suma wydobytych tonn węgla, produkcji nafty, ilość zapotrzebowań na wagony, a w parze z tem idzie wzrost eksportu, który już dziś przewyższa import.

Niewątpliwie, są to objawy pocieszające dla naszego rozwoju gospodarczego; nie powinny jednak one zaślepić nas na planową akcję naszych nieprzyjaciół, którzy, nie mogąc nas powalić na polu ekonomicznym, wszystkimi siłami dążą do usunięcia nam ziemi z pod nóg drogami polityki wszechświatowej. Wolna dyskusja europejska na temat rewizji traktatów pokojowych (w pierwszym rzędzie w sprawie t. zw. korytarza gdańskiego), dyskusja, umiejętnie rozdmuchana przez niemców — to podkop, którego zakłada się miny pod rdzeń naszego istnienia państwowego: dostęp do morza. Zwycięstwo skrajnych żywiołów w parlamencie niemieckim i enuncjacje Hitlera podniosły chyba dostatecznie przyłbicę z fizjognomji politycznej tych bolszewików Zachodu. Chodzi tylko o uścisk ręki z bratnimi duszami w Sowiech — uścisk, który się dokonać może jedynie ponad Polską i jej kosztem.

Druga choroba powojennych ustrojów: kryzys parlamentaryzmu. Kto wie, czy to nie poprostu gorączka młodości? Bo życie po wojnie mknie naprzód szybciej, niż mogą zdążyć parlamenty. Ciała ustawodawcze starzeją się zbyt prędko, zbyt wczesnie stają się ciałami martwymi, któremi rządzi prawo inercji, nie siła inwencji i żywotności wewnętrznej. Jest to zjawisko powszechne, występujące

w mniej lub bardziej ostrej formie, zależnie od ukształtowania się warunków politycznych i społecznych w danym państwie.

U nas główna przyczyna zmierzchu parlamentaryzmu tkwi w tem, co Marszałek Piłsudski w swoim ostatnim wywiadzie z dn. 24 października nazywa „poczuciem nieodpowiedzialności, które tak silnie jest założone w charakterze polskim“. Trudno o trafniejsze wskazanie źródła zła. Brak poczucia odpowiedzialności osobistej jest organicznym wynikiem choroby partyjnictwa. „Każda drobna praca partji znaczyła dla posłów znacznie więcej, niż praca dla ogółu, niż praca dla wszystkich“. „Każde nadużycie, każde łajdactwo było dobrem wtedy, gdy robił je członek innej partji“. Te zarzuty odnoszą się do wszystkich partji bez wyjątku i są bezsprzecznie słuszne. Więcej: są niejako naczelnym punktem programu politycznego, który Marszałek Piłsudski określa całej Polsce. Czy jest bowiem chociaż jeden uczciwy i dobrze myślący polak, któryby się pod takim programem nie mógł i nie chciał podpisać? Przekreślenie partyjnictwa — to przyłożenie topora do korzenia złego, to to samo, co skasowanie liberum veto w dawnym sejmowładztwie, to wycięcie wrzodu, który toczył organizm Polski, to uzdrowienie stosunków wewnętrznych, które ulegały coraz to większemu zabagnieniu.

„Wyborcy są daleko lepsi, niż bywali ich wybrańcy“, — kończy swój wywiad Marszałek Piłsudski. Rdzeń społeczeństwa jest niewątpliwie zdrowy, niezarażony partyjnictwem, tylko zmęczony zamętem pojęć i toczącymi się wokół niego walkami politycznymi, z których widzi wyjście jedynie w silnej władzy, dającej całkowitą gwarancję nieskrępowanego i normalnego rozkwitu państwowości polskiej.

Hasło bezpartyjności i odpowiedzialnej pracy dla państwa, rzucone na szalę rozważań obywateli w tak ważnym dla kraju momencie przedwyborczym, niewątpliwie skonsoliduje i skupi rozproszone lub chwiejne siły tych, których dotychczas do abstynencji politycznej zmuszał nakaz własnego sumienia, poczucie godności osobistej i instynkt sprawiedliwości, napróżno szukający odpowiedniej dla siebie drogi w labiryncie krętych i zawitych ścieżek partyjnego myślenia.

Lwią część rzeszy tych abstynentów politycznych z własnej a nieprzymuszonej woli stanowią kobiety. Naczelnym punktem programu Marszałka Piłsudskiego, tu przez nas omawianym, powinien być wyrwać z zaczarowanego koła tego „désintéressément“ politycznego. Daje im on bowiem możliwość uczciwego wyżycia się politycznego, bez którego żadna normalna jednostka ludzka nie może stać się pełnym obywatelem w istotnym tego słowa znaczeniu.

Więcej jeszcze: otwiera on nowe drogi temu świeżemu materiałowi ludzkiemu, tej nowej rasie politycznej, która do pracy państwowo-twórczej przynieść pragnie to, co ma najlepszego: niewyzyskane siły, niezmordowany zapal, uczciwość zamiarów i czystość rąk. Są to wartości, z którymi liczyć się trzeba poważnie tam, gdzie chodzi o stworzenie nowej Polski, wolnej od zarazków partyjnictwa.

NATALJA JASTRZEBSKA

W CHWILI OBCHODU ĆWIERĆWIECZA

Jesteśmy w kulminacyjnym punkcie uczczenia dwudziestopięciolecia szkoły polskiej.

Historja walki o tę szkołę, bezkrwawej, ale jakże mężnej, jak — powiedziec śmiało można — bohater-skiej postawy społeczeństwa, w dążeniu do najistotniejszych praw narodu, stawiającego czoło zaborcom, jest czemś w dziejach dotychczas nieznanem.

Historja Europy zna stowarzyszenia polityczne, zna spiski młodzieży akademickiej; były to związki na tle wolnościowym, filozoficzno-politycznym, zrzeszenia ludzi młodych, lecz dorosłych, którzy nowe ideały pragnęli wprowadzić do ustroju własnych krajów; ale takiego odruchu dzieci, walczących o swoją szkołę narodową, odruchu, popartego przez rodziców, nauczycieli, przez całe społeczeństwo, nie było w dziejach świata.

Był w Polsce w r. 1905.

I stało się więcej jeszcze. Tam, gdzie tragicznie upadła akcja polityczna, gdzie, opłacane krwawymi ofiarami, zawiodły próby zerwania przemocy politycznej Rosji, gdzie akcja rewolucyjna narodu została stłumiona, pozostając tylko utajonym posiewem pod przyszłe poczynania — tam wysiłek młodzieży przyniósł owoce: szkoła polska powstała i przetrwała aż do czasów odrodzenia.

Nie była to więc akcja tylko oporu, tylko burzenia przemocy; był to zarazem czyn budowy twórczej, który nawet w tak niewypowiedzianie ciężkich warunkach udało się utrzymać. Udało się więcej: rzucić podwaliny trwałe i planowe, na których opierało się, najswobodniejsze z pomiędzy wszystkich instytucyj, szkolnictwo w czasie okupacji niemieckiej, i z których wyrosła szkoła niepodległej Polski.

Rzultaty te udało się osiągnąć dzięki zbiorowemu wysiłkowi całego społeczeństwa. Każda jego część ma swoje zasługi. Dzieci, młodzież uniwersytecka, rodzice, opinja ogółu — pracowali wszyscy.

A praca nie była lekka: młodzież szkolna, tak jeszcze naprawdę młoda i dziecinna, nie zaprawiona do żadnej działalności politycznej, wołała odważnie: chcemy szkoły polskiej! — nie dając się zastraszyć groźbą kar, nawet więzienia, nawet żołnierskiej rosyjskich. Prawda, że za dziećmi stali rodzice, że znalezienie się poza szkołą nie groziło nędzą; ale dla ich młodych umysłów walka podjęta była na wielką miarę. Chłopcy ryzykowali służbę żołnierską, bez praw, w wojsku rosyjskiem; ryzykowali wogóle możliwość wykształcenia uniwersyteckiego, pójsćcia po drodze obranego zawodu życiowego, bo iluż mogło wyjechać zagranicę?!

Młodzież uniwersytecka, ta oddawna zdobyła sobie wysokie stopnie w nieoficjalnej uczelni, w przesładowanej i tłumionej, a wiecznie żywej akcji podziemnej pielęgnowania polskiego ducha. Teraz, obok działalności dawnej, przybyła jej nowa: organizowania uczniów szkół średnich starszych klas, podsywania i utrzymywania oporu przeciw szkole rosyjskiej z jednej, pomocy nowo powstającej szkole polskiej — z drugiej strony.

Młodzież żeńska, dziewczynki, występują solidarnie obok chłopców; persadowano im, że głos żeń-

skich „pensyj” nigdzie nie zaważy — nie dały się złudzić: stanęły zwartym murem obok chłopców, choć ukończenie rosyjskiego gimnazjum dawało patent, najwyższy, jaki kobieta wogóle wówczas dostać mogła, otwierający drogę do kariery nauczycielskiej, do dobrych posad.

A nauczyciele? Oni narażali się jeszcze wybitnie, materjalnie, ryzykując bezpośrednio pozostanie na bruku, procesy i zesłania, bo były tego liczne przykłady.

Wytrwali jednak i znów nietylko wytrwali w oporze, ale rozpoczęli, z niczego, z cudownym polskim entuzjazmem budować swoje, polskie szkolnictwo; budować w warunkach, które w każdym innym narodzie zostałyby krótko określone, jako *niemożliwe*, a które oni potrafiliby stworzyć i utrzymać.

To też dziś, w momencie triumfu ich idei, realizacji ich pracy, największa, najserdeczniejsza wdzięczność należy się tym weteranom walki o polską szkołę. Najstarsi z nich nie mogli, niestety, uzyskać emerytur, na zasadzie rozporządzenia Pana Prezydenta o zabezpieczeniu pracowników umysłowych, przekroczyli bowiem granicę wieku, ustawą zakreślonego; przyznano im więc zaopatrzenie emerytalne na zasadzie oddzielnego rozporządzenia. Stało się to jednak dopiero w ostatnim czasie; wszyscy, wielkim głosem wołać powinniśmy o jaknajszybsze wykonanie tego rozporządzenia.

Rok jubileuszowy polskiego szkolnictwa jest nietylko rokiem uroczystości, ale znów wyteżonej, twórczej pracy. Ci wszyscy, którzy po latach spotkali się znów na niezliczonych zjazdach koleżeńskich, organizowanych we wszystkich punktach Rzeczypospolitej, nie zapomnieli czynu. Przeniósł się on na inne pole, niemniej jednak ważne, niemniej potrzebujące starań i uprawy.

Komitet obchodu dwudziestopięciolecia szkoły polskiej, złożony z tych, co ją przed ćwierćwieczem wywalczyli, nie ograniczył się do zjazdów i obchodów. Rozpoczął akcję pomocy dla tej gałęzi szkolnictwa polskiego, która dziś potrzebuje zarówno pomocy materjalnej, jak moralnej opieki: dla szkół polskich zagranicą.

Szkoły te są liczne, znajdują się one w różnych krajach, są w przyjaznych nam, są w neutralnych i wrogich. Wszędzie jednak należy o nich pamiętać. W nich kształcą się dzieci licznych polaków, zmuszonych przebywać na obczyźnie; one są tam placówkami polskiej kultury, wychowywać winny młodzież w duchu polskim, bronić od wynarodowienia, zaprawiać do przyszłej służby w kraju.

Państwo nie ma środków na zapewnienie im całkowitego, niezależnego bytu; w większości wypadków nie mają na to środków i emigranci. Społeczeństwo musi przyjąć z pomocą.

Nie chodzi tu o wielkie ofiary, lecz o pamięć stałą i powszechną. Komitet, ze składek, dosłownie groszowych, potrafił już, w przeciagu niespełna roku, zebrać fundusz poważny. Zasili on potrzeby szkół polskich zagranicą. Należy jednak akcji tej nadać cechy trwałości.



Na Powązkach.

TEKLA KNOLL-WITTIGOWA

POWĄZKI

„Duchy, potrzeba nam tu waszych serc dzielnych“.

Dygasiński: „Gody życia“.

Zbyt długo zatrzymałem się na mej cmentarnej wycieczce. Słońce się zniżało, zaczęło ciemnieć i cmentarz zupełnie opustoszał.

Poszedłem więc jedną z głównych alei, kierując się ku wyjściu, gdy zdaleka ujrzałem dwóch ludzi, którzy szli naprzeciwko mnie: jeden wysoki, drugi znacznie niższy, z łopatami przez ramię — byli to robotnicy. Nim się jeszcze do mnie zbliżyli, usłyszałem ich głosy, wychodzące matowo i miękko z waty pierwszego mroku.

— Już zapóźno — powiedział niższy — nie wyjdiesz.

— Musisz iść z nami — dodał wyższy z lewej strony.

Zawróciłem więc i poszedłem za nimi, równoległe do linii niskiego słońca, a leżące na płytach grobowych jesienne liście mijały nas z pozdrowieniem przymkniętych powiek. Doszliśmy tak, skręciwszy parę razy, do miejsca, gdzie robotnicy, zasłonięci przez duży nagrobek, zaczęli kopać, skrzypiąc łopatami.

Serce na małą chwilę wzniosło się króciutkim skowytom żalu za odchodzącym życiem. W tym momencie zerwała się czerwona niteczka ciała, najchciwiej oplatająca żywe serce w przededniu śmierci, którym jest życie.

Dopiero po chwili prawdziwie poczułem miejsce, rozległość nieba, ciszę drzew, z których najmądrzejsze dekoracje — ciche liście — spadały na milczące groby.

— Gdy się człowiek czuje na swoim miejscu, ogarnia go spokój — pomyślałem.

Na cmentarzu czułem się na swoim miejscu.

O pokrewieństwie człowieka stanowi jego miłość.

Jakże mocno miłością spokrewniłem się z grobem!

Nie mniej, niż z życiem.

Chodząc między ludźmi, odchodziłem zawsze od nich na całą odległość tej jednej tajemnicy i tych innych, których mękę tylko wiara w śmierć rozjaśniała na chwilę błysnięciem swego oblicza.

Za dużo było we mnie śmierci na obcowanie z żywymi.

Tu zaś, na cmentarzu, zmarłym nie przeszkadza życie mego życia; może ono najwyżej płomiennym krzewem niedoterania, niedopicia, niedokończenia, starając na płaskim grobie pod łagodnym, wklęsłym niebem.

Z mroku nagrobnego klombu obok ławeczki, na której usiadłem, patrzyły wzmożoną, gęstą barwą amarantowe i szafirowe cynerarje; pelargonja tliła w głowach grobu, jak latarnia. Z niewielkiej odległości dochodziło mnie szczekanie łopat.

Wstałem i, wolnym krokiem, w oczekiwaniu spokojnym szedłem przed siebie.

Nagle, gdzieś z boku szczeknął i zasapał pies. Zaraz też wybiegł na moją drogę; za nim, powolnym krokiem, wyszedł pan średniego wzrostu z bródką, lekko pochylony; ręce trzymał w kieszeniach. Pies łaścił się do niego — był to wyżeł o długich, miękkich uszach; co chwila opuszczał swego pana i biegł naprzód ze spuszczoną głową, jakby węszył.

Przechodzień otoczył wejrzeniem groby przed sobą i po obu stronach drogi.

— Groby, same groby — przemówiłem do niego nagle, powodowany jakąś nieuświadomioną chęcią odezwania się do tego człowieka.

Mówiąc o grobach, myślałem właśnie o wszystkim.

kiem, co niemi nie jest — czułem, że ten człowiek nie należy do śmierci, a że ona tylko „wyzwoliła go z niewoli na zawsze“.

Wtedy odezwał się głosem szmernym, który przeniknął mnie do dna duszy.

— „Nikt taki nie żyje dzisiaj, kto nie żył ongi i komu nie świta jutro wieków Życia, co chwila innego“.

Zrozumiał mnie. Ze słów jego spływał dostojny błękit, jednoczyłem się z nim w świecie wielkim i jasnym. Z wdzięcznością szedłem dalej obok; pies biegł przodem, jakby wskazując drogę.

Przez szparę między drzewami błysnął skrawek zachodzącego słońca; wyglądało to, jak mignięcie czerwonej latarki.

— Dział nie słyhać — powiedziałem — wielkie cielsko wojny stoczyło się ku wschodowi i głos jej do nas nie dochodzi, ale słońce, ojciec żyjących, do snu się kładzie w krwią ociekającej oponczy.

Zatrzymał się i spojrzął na pożegnalne rubinowe światło.

— „Słońce — rzekł półgłosem — ty stwarzasz niedole słabych, ale sprawiasz, że wojny mocnych dają słabym ocalenie. W twojej dłoni orężem na mocnych są jeszcze mocniejsi, którzy nie ostoja się przed najmocniejszymi“¹⁾.

Poczem odwrócił się ku wschodowi, jakgdyby wzrok jego bezmierny mógł stąd dojrzeć odległe pola walk, jakgdyby do uszu dochodził szczeł wojenny. Usłyszałem, jak cicho szeptał do siebie.

— „Czy są tam tacy, którzy składają bez wahania życie na ołtarzu miłości?“

— Są — odpowiedziałem z radością.

Wtedy wznosił głowę i poszedł dalej niezakłóconym krokiem. Powiedział tylko:

— „O Życie! twoja tajemnica jest tajemnicą miłości“.

Ale stanął raz jeszcze i dodał: „Zwycięzajcie, dowieźcie się, czem jest marzenie wieków“.

Pies stanął także, podniósł łacią głowę i czekał.

Poczem obaj wyprzedzili mnie i szli dalej przodem.

Patrząc na oddalającego się przechodnia, wspominałem jego ciche proroctwo:

„Brama grobu jest czarna i ponura, ale tylko przez nią wchodzimy w ludny i rozległy świat wieczności“.

Przestałem czuć, czy widzę odchodzącego, czy nie. Szedłem przed siebie i skręciłem w marzeniu i jakiejś jasnej niepamięci. Teraz szła przedemną bez końca równa, prosta, już nie aleja cmentarna, ale ulica Grobów. Nie dochodząc dużej kaplicy, zobaczyłam niewielką mogiłę; na kamieniu nagrobnym siedziała spokojnie wysoka kobieta w czarnej sukni. Twarz kobiety o rysach dużych, nosie ciężkim i czole szerokim, bielą jasnością, jak miesiąc; włosy jej, rozdzielone gładko nad czołem, otaczały czaszkę, jak dwa spokojne skrzydła.

Usiadłem na ławeczce naprzeciwko. Wtedy z za ramienia siedzącej jasną i znajomą linją błysnął mi złoty napis krzyża:

„Ludziom służyła,
prawdy szukała,
miłością żyła,

umarła, modląc się za szczęście braci;

niech jej wspomnienie będzie przyszłości zapomogą“.

Odetchnąłem głęboko, korny i do dna duszy bezpieczny.

— „Stamtąd!“ — spytała mnie spokojnie kobieta głosem niskim, którego brzmienie zatracą ogromnie odległą wibracją brązowych płyt. W intonacji jej była zawarta odpowiedź.

Bezdzwięcznie powiedziałem: — tak.

Oczy jej zajaśniały nagle, jakby się w nich odbił blask przepływających mimo, srebrnych chmur.

— „Nasłuchujemy tu dalekiej wrzawy — powiedziała — i sądzę, że znów wyleciały pod niebo ptaki nadziei“.

Poczem oparła się łokciami na kolanach i wolno, niegłośnie dodała: „nareszcie“.

I jeszcze ciszej z uśmiechem:

„.... bo już od tak dawna żadna piosenka nie zabrzmiała sławna,

w naszym języku, w naszej polskiej nucie, żeśmy już prawie śpiewać zapomnieli“²⁾.

Chwilę milczała, poczem wyprostowała się, dodała zupełnie już innym głosem: „Pojedyncze wsparcia i dobre uczynki miła, zaiste, są rzeczą, ale tak giną bez śladu, jakgdyby ich Pan Bóg nie chciał w historyczną wieczność odprawić. Są śliczne wyrazy, ale głosy przechryple; snać ich tam w niebie dosłyszeć nie podobna — jest na to lekarstwo może — rzechby miliony szepnęły coś razem, cichuteczko, ale razem — przecieżby to silniejszym echem w górze się odbiło“.

Lękałem się, że powie: „Spodziewam się, że w Warszawie jeszcze piękniejsze nadzieje skruszone rozumem o serce“.

Nie chciałem odpowiedzieć własnymi jej słowami:

— „Robrony prapabek do mody wracają — tylko prawda, którą ojcowie i starsi bracia krwią swoją odkupili, z eleganckiego świata wypędzona“.

Zresztą, czułem niejasno, że to tylko skóra, która zejdzie z pierwszą wiosną, ale właściwego słowa nie było mi dotąd danem usłyszeć.

— „Czy jest już tam ten instynkt — spytała — co w jedność łączy i pod naczelnictwo któregoś pierwszego rzedem szykuje na jesień odlatujące żórawie?“

Szepnąłem tajemnicze, szczęśliwe „tak“ — nie potrzebowała innej odpowiedzi. Teraz mówiła, jakgdyby każdą cząstką należała do nas, do dzisiejszego życia, pełnego pulsującej krwi, tłumaczyła nasze „dzis“ przed Bogiem.

— „Przecież, jak świat światem, jak dzieje dziejami, nie widziano jeszcze ludu zaborczego, któryby pieścił, podwyższał, bogacił i oświecał zdobyte przez siebie państwa. Ucisk idzie za zdobyczą i gwałtem, jak cień za ciałem człowieka, jak śmierć za urodzeniem“. Tu umilkła na chwilę, poczem mówiła wciąż silniej:

— „Otóż więc żadnej nędzy naszej za stan nasz wewnętrzny i narodowy nie uważam; przeciwnie, jako stan zewnętrzny, jest to napływ cudzy, obcy, bez związku naturalnego z rzeczywistością i prawdą naszej istoty. Dla mnie i dla was zapewne, wewnętrznym, narodowym stanem zowie się tylko siła, do zachowania bytu potrzebna, zdolność do odparcia niewoli konieczna, materiał do rozsadzania ścieśniających nas murów niezbędny — że się te właśnie obficie

¹⁾ Adolf Dygasiński.

²⁾ Narcyza Żmichowska.

u nas znajdują, nigdy nie zwątpiliście na chwilę i my też nie zwątpili...

Na ostatnich słowach głos jej stęzał i twardo stanął. Rozejrzała się dokoła po ziemi umarłych.

— „Co tam człowiek — drobna jednostka — listek malutki na wielkim drzewie stworzenia” — powiedziała nagle cicho i miękko.

Zarys jej twarzy dochodził już do mnie jedynie siłą wyrazu — ściemniło się bardzo. Na grobach dokoła leżał jednolity mrok.

Nagle od prawej strony zaczęły mnie dolatywać słodkie dźwięki pieśni.

Były ciche, lecz przejmujące i haftował je na smudze powietrza nie jeden motyw, lecz spleciona, a spoista harmonja wielu. Razem składały się na głęboki w treści, choć rzewnie odległy, oddaleniem jasny, nalany pulsującym, przelatliwym światłem obłok — melodie płynące po ziemi. Co czas jakiś powracał tam motyw kurantów, jak bijąca godzina wieczności, wdzięczna, uśmiechnięta pamiątka krótkich, twardych, męskich, gorzkich lat ludzkiego życia — teraz niepotrzebna w użytku, lecz promieniem przeczuć człowieka przenikająca głębię przyszłości, jasna ozdoba na zegarze nieśmiertelności. A potem ciche, polykane łzy dumki:

„Nie śpię, nie jem, dręcę siebie...”

Może snuły się tam jasne dziewczęta, goniące za motylkiem, może smętne, czarnobrewne z rozwianym włosom; coś grało chłopskim brzękadłem, skrzypeczki pajęczyną łączyły srebrne nerwy obłoku; skargi rzewnych głosów, zbroczonych krwią gołębi, spływały tam sznurami pereł; brzęk karabeli, takt ma-

zura, prarytm tańca wrywał się z pod zjawiska dołem.

Środkiem, z głową ukrytą w wieczornym cieniu, szedł niewysoki, krępy mężczyzna w długim surducie, z rękoma w tył założonemi³⁾. Cała pieśń iskrzyła się u jego stóp. Przeszło to między nami w jasności i cieniu, rozgwarze i ciszy.

Ostatnia fałda jasnego płaszcza tonów objęła na chwilę kobiecą postać, siedzącą niedaleko na ławce. Krótki moment wystarczył, żebym poznał silne fałdy stroju, włos czarny, giest ogromny, szyję odkrytą, usta śmiałe i oczy — ach — to nade wszystko! płomienne oczy z portretu w Zachęcie⁴⁾. Oczy te łąco zmagaly się z ciemnością wszelkiej nocy.

Wtedy przeszedł po nas łagodny i szeroki powiew, choć żaden liść nie drgnął.

W oddali od prawej strony przeciał drogę ogromny cień, cały z siły i spokoju.

Niejasno zarysowały się fałdy żupana, zaledwie minęła rogata czapka.

Wielki cień Kilińskiego wstał ze swego nieznanego grobu i wiał kędyś ogromnym oddechem ku dalekiej stronie nieba.

Wszyscy czuwali.

„Jakże nam dobrze, wszyscyśmy swoi i niema miejsca dla obcego” — wspomniałem nagle radosny niegdyś okrzyk pierwszego ze spotkanych.

Pierwsza gwiazda wieczoru połączyła blaskiem miłości bliską krainę cmentarną i daleką rubież walczącego Życia.

Warszawa, 1916 r.

³⁾ Stanisław Moniuszko.

⁴⁾ Anna Bilińska.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

NAD GROBEM PANI BÉCU

*Jesion nad tobą ukląkł, składając zielone ręce,
I pyta, czy pamiętasz Julka lata dziecięce.*

*Pierwszą koszulkę białą i pantofelki pierwsze,
Tego, co tworzył później płonące, skrzydlate wiersze.*

*Małeńkie nieperne kroki, słodkie szczebioty ust małych,
Ducha, miotającego błyskawice i strzały?*

*Czy w sercu twym, jak w skrytce kantorka staroświeckiego,
Śpią ciemne pukle młodzieńca, zmagania i wzloty jego,*

*Tęsknota do srebrnej Ikwy, co z krwią mu biegła przez żyły,
I za Krzemieńcem tęsknota, i za Wołyniem miłym?*

*Czy w grobie twym, wykwiłtym, jak gniazdo jaskółcze na wzgórzu,
Jawi się ten, co Ojczyźnie Prorokiem był i różą?*

*Czy na cmentarzu, tonącym w ślazach i dzikiej cykcrji,
Śniesz, Sally, o Synu moim w koronie z cierniowej glori?*





...Na zieloną darń osypane złoto brzozomych liści... Pusta ławeczka zalana słońcem.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

„TEN PIERWSZY GRÓB Z BRZEGU“

Poza ruchomą siatką mgły deszczowej złocą się jesienne drzewa i szarzeją w mrokach wieczornych czerwone gmachy szpitalne. Kolejno rozbłyskują zapalane w oknach światła: w dużym, dwupiętrowym budynku Nr. 2, w parterowym — „wewnętrznym“ i w „chirurgicznym“.

Poza matowemi szybami szerokiego okna sali opatrunkowej porusza się ruchliwy cień. To Siostra „Operacyjna“ przygotowuje wszystko, co potrzeba (jak codzień od lat sześciu) do jutrzejszej operacji. W dużym kotle sterylizuje się lignina, pocięta w równe, białe płyty. Leżą na porcelanowych blatach dziwaczne w kształcie, chirurgiczne narzędzia, grube zwoje bandaży i kłęby wełnistej, białej waty. Pochyliła się nad nimi wychudła, pomarszczona twarz w białym obramowaniu sztywnego czepeczka. Czerwone, zniszczone od kwasów i lekarstw palce poruszają się szybko, a oczy śledzą uważnie każde poruszenie rąk.

Jutro przy operacji Siostrę Operacyjną zastąpi pierwszy raz Siostra Jadwiga, więc trzeba wszystko przygotować z podwójną starannością, by tamta so-

bie dała jakoś radę... Siostra Operacyjna nawet się obawia... czy tamta sobie da radę?

Ale trudno... Jutro... Jutro są Zaduszki i oddawna oczekiwany dzień.. Nikt się nie domyśla nawet, jak to ważny dzień dla niej! Docent był zdziwiony, że ona opuści operację (pierwszy raz od lat 6-iu), asystent chciał protestować, a Siostra Jadwiga zgodziła się zastąpić — choć była trochę urażona o to, że nic jej nie mówi o powodzie, dla którego się zwalnia...

Przecież... wszystkie Siostry *) lubią czasem na długim, białym korytarzu opowiedzieć coś o sobie, o swoich troskach i o swoim prywatnym życiu.

Ale o Siostrze Operacyjnej nikt nic nie wie i nikt nie zna jej życia, bo ona z nikim nie rozmawia. Zdziwaczała widocznie przy tych krajanych brzuchach, wyjmowanych rakach i amputowanych nogach!

*

że zdziwaczała — to zdziwaczała. Sama o sobie

*) Mowa tu o Siostrach Czerwonego Krzyża, czyli o pielęgniarkach świeckich, nie o Siostrach Miłosierdzia.

tak myśli, wracając mroczną, szpitalną aleją do swego pokoiku w budynku Nr. 2.

Tam, w tym małym pokoiku zdejmuje z ulgą sztywny czepeczek, duży, biały fartuch i zmienia zabłocone buty na filcowe, kraciaste pantofle.

Jest zmęczona. Ale nie odpoczywa. Oto ze śmiesznej szafki wydobywa małą, brązową walizkę i otwiera ją kluczykiem (zawieszonym na czarnym sznureczku na szyi).

W walizce jest mnóstwo dziwacznych przedmiotów. Wielkie, ogrodnicze nożyce, sznurki, mała elektryczna latarka, kilkanaście poowijanych w papier lampek cmentarnych i... szczotka.

Wszystko jest w porządku. Siostrzyczka zamyka systematycznie walizkę, wieszka na sznureczku kluczyk i sięga z kolei ręką do woreczka, ukrytego na pierśsiach — pod wełnianą, czarną bluzką. Szeleszczą pieniądze. Jest ich 2.525 złotych, ułożonych równiutko i owiniętych w starą, pożółkłą gazetę.

Wszystko w porządku.

*

Trudne to do uwierzenia, ale Siostra Operacyjna naprawdę kiedyś była zwykłą kobietą. Miała na imię Irena. Miała majątek w Kutnowskim (wcale ładny — 40 włók ziemi). Miała męża i miała... przede wszystkim — córeczkę!

Ta córeczka — to było jej ukochanie.

Ta córeczka — to był jej... bzik (tak mówili wszyscy).

...Zosieńka ważyła aż 9½ funta, gdy się urodziła! Zosieńka... ząbkowała bez bólu!... Dla Zosieńki „nursy“ sprowadzono z Anglii... Dla Zosieńki „bony“ sprowadzono ze Szwajcarii, a lalki z Paryża. Dla Zosieńki „ściągnano gwiazdki z nieba“ i „kafelki z pieca“.

Mąż pani Ireny — umarł na Rivierze (suchoty). Wtedy już Zosieńka była „jedyną mamusią pie-szczoszką“, „mamusinym całym światem“ i „mamusinym — wszystkim“....

Kiedy Zosieńka miała lat 15, dostała zapalenia płuc. (We wtorek przemoczyła nogi, a we środę zgrzała się w futrze). 40° gorączki. Klucie w boku. Ciągające, lepkie plwociny, wynoszone w mdlejących z rozpaczonych rękach. Potem raptowny spadek temperatury i poty. To się nazywało kryzys, a w języku pani Ireny — cud!

Doktorzy coprawda mówili, że Zosieńka — to takie śliczne jabłuszko: z zewnątrz rumiane, a w środku robaczywe... Ale pani Irena nie chciała, nie mogła w to uwierzyć. Na wszelki jednak wypadek: Meran, Otwock i Zakopane. Nauka śpiewu (to rozwija płuca).

Pieniądzy zaczynało nie starczać — więc najpierw poszły te łąki (pod lasem), a potem folwark dziesięciowłokowy najlepszej ziemi.

Tymczasem analiza wykazała laseczniki Kocha. Pani Irena wtedy jeszcze niebardzo rozumiała, co to

znaczy „gruźlica włóknista“ i „wysiłek w lewym szczycie, który się nie chce goić“.

Ale sprzedawała starodrzew i chodziła w Zakopanem z termometrami, okrywała swój skarb na werandzie najdroższymi futrami, sprowadzała doktorów, kupowała kwiaty i jedwabne pyjamy, stare wina i podzwrotnikowe owoce.

Zdobywała się przytem na... uśmiech i pogodę oczu — na te najtrudniejsze do zdobycia „kafelki z pieca“ matczyngo bólu!...

Klimat Zakopanego okazał się za ostry. Wrócono na wieś. I tu... I tu... Pani Irena została sama. Najokropniejsze było to, że musiała sprzedać te ostatnie kilka włók i zostawić samotny, żelazny krzyżyk na wiejskim cmentarzyku.

*

Od sześciu lat Siostra Operacyjna pracowała ciężko w świątek i piątek. Ocalały dzięki jej pomocy setki ludzi, a... w małym, płóciennym woreczku gromadził się ciułany z miesiąca na miesiąc — grosz. Grosz do grosza. Złoty do złotego. Dla... Zosieńki na ostatni, pośmiertny prezent, na ostatnie... „kafelki z pieca“.

Dziś... w Dzień Zaduszny — nareszcie! Po sześciu latach pracy, będzie mogła swojemu dziecku powiedzieć:

— „Kochanie... wreszcie zabieram cię ze sobą do Warszawy. Dostaniesz biały, marmurowy grób z posągiem anioła o rozwiniętych do lotu skrzydłach“.

*

Na wybojach bocznej drogi trzęsie się i podskakuje zielona, żydowska bryczka. Siedzi w niej czarno ubrana Siostra Operacyjna, w głęboko na uszy wciśniętym kapeluszu i z torbą brązową na kolanach. Jasek zna dobrze jasną panią dziedziczkę, więc cmo-ka rażno na konie, strzela z bicia i współczująco wzdycha.

Boże Drogi — to tu...

Ah... prawda. Trzeba zapłacić za konie z kolei.

Słoneczne smugi kładą się na leśną polanę i na przylegający do niej, a nieoparkaniony wiejski cmentarzyk.

Zdała już bieleją pnie brzoź... Ten pierwszy grób z brzegu... Na zieloną darń osypane złoto brzożowych liści i czerwień jesiennego klonu. Pusta, matczyzna ławeczka zalana słońcem.

— Czy słyszysz mnie, kochanie? Jutro cię zabieram...

Czerwone, zniszczone od kwasów i lekarstw palce — obmiatają szczoteczką grób z liści; krzyżyk z szarej opyli... i wielkimi, ogrodowymi nożycami obcinają wysoko wybujałe krzaki bukszpanowe.

A kiedy mrok zapadnie, zajaśnieją zapalone na grobie lampki i oświetlą pomarszczoną i wychudłą twarz Siostry Operacyjnej i rozjaśnią jej oczy... „spełnieniem marzeniem“.

POD STRAŻĄ ŚWIĘTEGO MICHAŁA

„I za nas niechaj światła się zapalą, za nas, cośmy nie kochały nikogo... A miłość pamięci, a pamięć miłości nas nuży i płomień ręki kochającej nas parzy... Ale jesteśmy sami. Sami jesteśmy, jak ślepa i bezcielesna muzyka“.

Kazimiera Illakowiczówna.

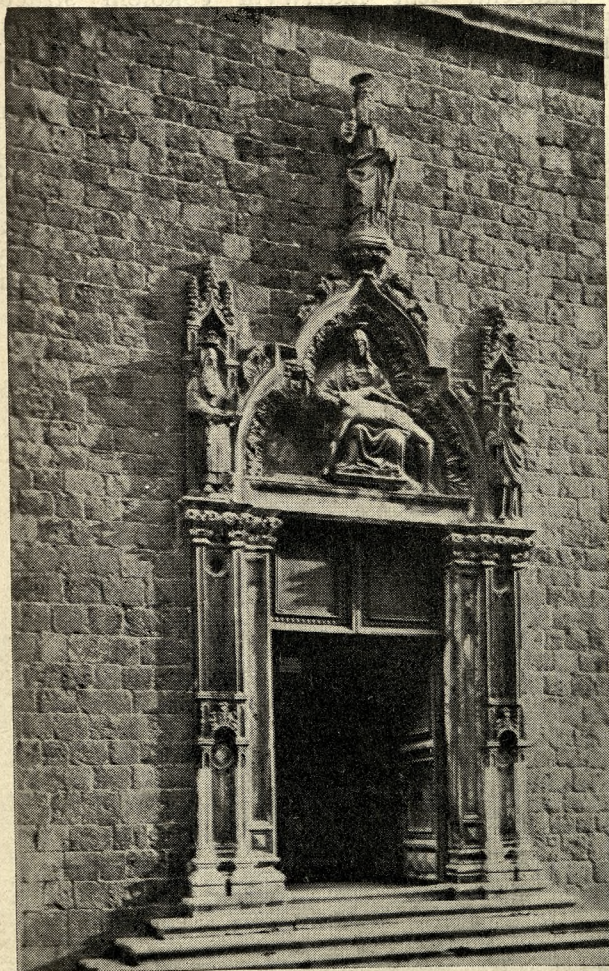
Biały, kręty wąż drogi zwolna wspina się w górę wśród zrzadka rozsypanych białych willi i zielonych winnic, omdlałych pod rozpalonem do białości słońcem. Raptem, na którymś zakręcie ciemno robi się w oczach od cyprysów. A nad ich szmaragdową gęstwiną wypływa na szafirowe niebo trójkątny biały zagiel: barokowy fronton kościoła, uwieńczony charakterystyczną dla Dalmacji płaską i ażurową dzwonicą, mieszczącą zawsze tylko trzy dzwony: dwa na dole, jeden na górze.

Kościółek maleńki, jak szkatułka, wciśnięta między plebanję, a mur cmentarza. Zapach smażonej oliwy sączy się przez gęsto okratowane okienko probostwa, jak przez sito.

Zbliża się południe. Na minjaturowej pergoli przed głównym wejściem kwitną w chłodzie geranje. Od strony cmentarza naga ściana kościółka zakwitła



...wśród zrzadka rozsypanych białych willi i zielonych winnic...

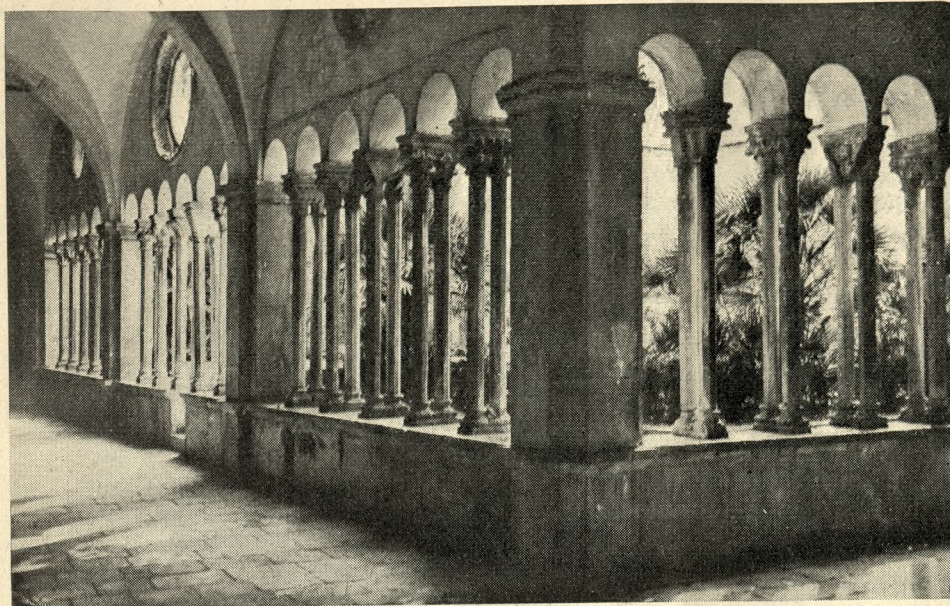


...Święty Błażej podawannemu czuwa u wrót Dubronnika...

dwiema płaskorzeźbami. W samotnej niszy duma Madonna z Dzieciątkiem; w łuku nad bocznymi drzwiczkami święty Michał zabija smoka.

Temat jest bogaty i zawiły. Święty w lewicy trzyma wagę o dwu szalach, w prawicy unosi nad głową olbrzymi miecz, którym zamierza się na smoka. Potwór wije się u stóp archaniola, od paru już wieków oczekując na cios śmiertelny. Artysta nie mógł sobie dać rady z problemem ograniczonej przestrzeni i naiwnie przekrzywił głowę świętego, chcąc, aby mu się i głowa i miecz pod łukiem zmieściły. I właśnie w tej naiwnej prostocie faktury tkwi cały urok tego dalmatyńskiego świątka.

Nawprost św. Michała uchylona krata żelazna prowadzi na cmentarz. Jeden krok i jesteśmy w innym świecie. Zgasły płomienne geranje, za wysokim murem został sielski zapach oliwy, prostacze rzeźby i naiwni święci. Nic, tylko biały marmur i malachitowe słupy cyprysów, podpierające nieruchomy lazur nieba. Ani śladu mogiłek, kwiatów, wieńców — tych widomych, choć pospolitych dowodów pamięci pośmiertnej. Nic, tylko na trzech wyźwirowanych tarasach trzy rzędy płyt grobowych z krótkim napisem;



... Najurodzimsze dziewice wędły za złoconemi kratami pałaców,
jak za furta klasztorną...

krzyż i nazwisko, czasem herb, na kamieniu wyryty. Tu spoczywa patrycjat Dubrownika, tu leżą ostatni ze swego rodu, ci, co przeżyli wolność Rzeczypospolitej, ale niewolników rodzić nie chcieli.

Tysiąc lat Dubrownik nie znał innego pana, prócz św. Błażeja, któremu dobrowolnie oddał się w opiekę i protektorat niebieski za cenę i pod gwarancją relikwii świętego, w złoto i bezcenne bizantyjskie emalje oprawnych. Aż nadszedł rok 1806, kiedy to na rozkaz Napoleona, poraz pierwszy obce wojska przekroczyły nietykalny dotychczas próg twierdzy dubrownickiej. Minęło jeszcze dwa lata i „bóg wojny” przekreślił istnienie rzeczypospolitej, mianując generała Marmonta księciem Raguzy. Sztandar św. Błażeja przestał powiewać nad miastem. Jak sępie gniazdo, zawisł nad nim fort Imperial, pazurami dział sięgający aż do wnętrza grodu.

Złamana została wolność i potęga Raguzy, ale nie złamana dumą i wola jej synów. Rozpacz bywa czasem złym doradcą, ona to podsunęła pysznym wielmożom myśl bezkrwawego samobójstwa.

— Musieliśmy ulec przemocy, ale nie musimy rodzić niewolników. Wymrzemy z honorem!

Tajemny pakt został zawarty. Przedstawiciele najpierwszych rodów Dubrownika dobrowolnie skazali się na beżeństwo i wymarcie. Przysięgą stwierdzono te śluby niemal zakonne. Nieliczni tylko wyłamali się od nich na drodze mezaljansu. Ale tych znać nie chciano.

Kłątwa zagłady i zatracenia legła, jak czarna chmura, na mieście słonecznym. Najurodzimsze dziewice wędły za złoconemi kratami pałaców, jak za furta klasztorną; krzepkość, ochota, dzielność

i zapal młodzieńców trawiły się w sobie bezpotomnie. Stracili wiarę w pomoc świętego Błażeja, w cudowne działanie relikwii i wotów, od których pęczniał skarbiec katedralny, jak ul, pełen miodu i pszczoł: złota i drogich kamieni—stracili nadzieję na odwet, jedyną nadzieję zwyciężonych.

I odchodzili zwolna, jeden za drugim, na ostateczne godziny z najwerniejszą ze wszystkich obłubienic ziemi: w objęcia śmierci. I leżą tutaj, każdy pod białą płytą swego samotnego, surowego grobowca, nieplakani przez nikogo, o modlitwy i westchnienie nie proszący, dumnie legitymujący się zaświatom tem jednym słowem: „obywatele” — bezpotomni.

„A miłość pamięci, a pamięć miłości ich nuży, i płomień ręki kochającej ich parzy”.

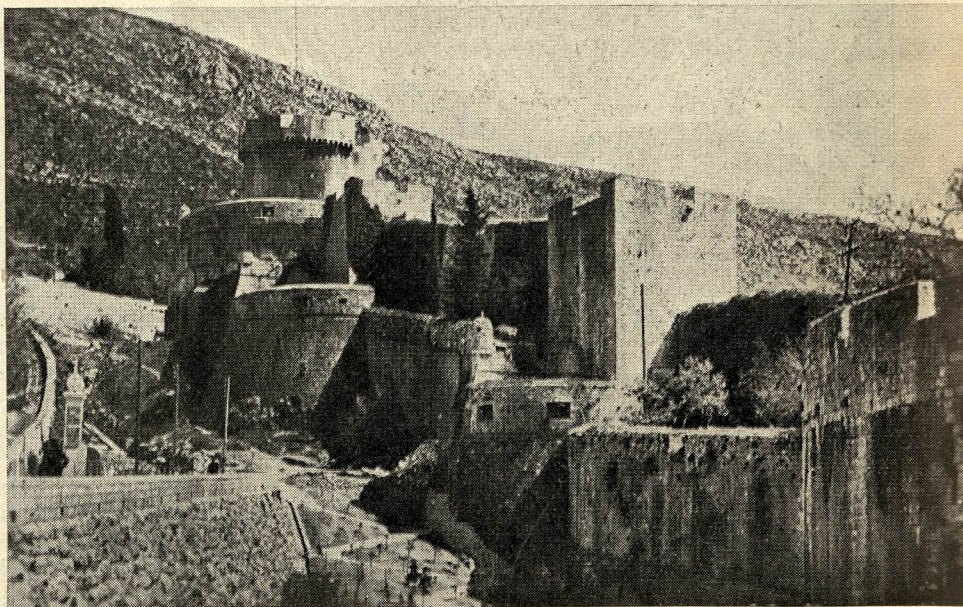
Tu leżeć chcieli, zdala od zgiełku miasta, tu, skąd nie widać ani fortu Imperial, ani cudzoziem-

skich flag na okrętach, ani wrogich żołdaków na murach.

Śpiący pod strażą cyprysów, nie wiedzą, że święty Błażej podawnemu czuwa u wrót Dubrownika, że fort Imperial jest martwym cokółem strąconego bóstwa, a po murach fortecznych, zamiast obcego najeźdźcy, przechadza się cichy i łagodny syn pasterzy w szarym kubraku żołnierskim.

Ale umarli o tem nie wiedzą. Obojętnie patrzą, jak na ścianie kościelnej święty Michał, krępy i prostaczy, powala smoka. Nie wierzą w możliwość zgładzenia potwora. I wszystko im jest jedno, która z dwu chwiejnych szal przeważy w rękę archanioła: czy ta, którą uskrzydla ich bezplodne bohaterstwo, czy ta, na której kamieniem legła ich duma i beznadziejność.

S. P. O.



... a po murach fortecznych przechadza się cichy i łagodny syn pasterzy...

CO SIĘ DZIEJE W SPORCIE KOBIECYM

Ostatnie dni przyniosły w sporcie cały szereg nowych i ciekawych rozgrywek, w których nasze panie zdobyły znowu pierwsze miejsca.

Lekkoatletyka. W tej dziedzinie odbył się mecz kobiecy w Warszawie pomiędzy A. Z. S. i Legją, w którym nasza niezrównana Konopacka ustanowiła rekord polski w rzucie kulą oburącz (oburącz — znaczy średnią z rzutu ręką lewą i prawą), uzyskując 19,58 metr. Natomiast zwinna Manteuflówna wygrywa bieg.

We Lwowie rozegrano trójbój o mistrzostwo Polski, w którym mistrzynią zostaje znowu Konopacką w rzucie dyskiem.

W meczu krakowskim zwycięża w biegach Breuerówna — zawodniczka zawodów Praskich (Czechy); w płótkach Freiwaldówna oraz w skoku wzwyż zawodniczka górnośląska Ekerlandówna.

Tamże ciekawe wyniki dały następne zawody, w których triumfowały zawodniczki Stadjonu (K. Huta).

Nietylko w dużych miastach odbywają się zawody: ruszyła się również i prowincja.

Rozgrywki o mistrzostwo Grudziądza, które odbyły się w pierwszej połowie ubiegłego miesiąca, przyniosły zwycięstwo paniom Gackowskiej, Żykowskiej i Zaleskiej.

Dalej odbyły się trójboje we Włocławku, w Lublinie, Wyszku, Łodzi, Zakopanem oraz w Gdańsku.

Jedną z najciekawszych rozgrywek ostatnich dni w Królewskiej Hucie był bieg kobiecy, na przełaj, na trasie 1200 metr.



Ekerlandówna i Sikorzanka.



Nagrody zdobyte przez Warsz. Klub Wioślarek.

o mistrzostwo Polski, w którym brały udział wszystkie nasze „asy”.

Ze zgłoszonych 15 pań na starcie stanęło dziewięć, a między nimi słynna nasza narciarka Bronka Staszek Polankówna.

W tym ciekawym biegu pierwsza do mety przybywa Orłowska.

Z powyższego widzimy, jak szalony postęp czynią nasze panie w dziedzinie lekkoatletyki, jak szybko ona się rozwija, pociągając za sobą z roku na rok coraz większy zastęp zawodniczek nietylko z dużych miast, ale i z prowincji.

Zawody lekkoatletyczne o mistrzostwo Polski odbywają się dziewiąty rok z rzędu; najwięcej tytułów uzyskała Konopacka, gdyż ma ich dwadzieścia trzy; podążają za nią Hulanička, Czajkowska, Lonka, mając po 6 mistrzostw.

Pomimo krótkich i chłodnych dni w październiku odbyły się w Poznaniu zawody pływackie, na których triumfuje Kreczmanówna.

Polski sport pływacki poczynił w ubiegłym sezonie nadzwyczajne postępy. Z pomiędzy najlepszych pływaczek europejskich zwrócono uwagę na Jarkuliszównę za jej świetne wyniki stylem klasycznym (żabka) na przestrzeni 400 metr.

Poza tym mamy jeszcze wiele innych pływaczek, które w przyszłości mogą być zaliczone do sław europejskich. Jedyne odczuwa się brak crawlerek.

Z okazji zamknięcia sezonu wioślarskiego rozegrane zostały na Wiśle regaty międzyklubowe żeglarskie. Zwyciężyła w tej największej kategorii Jadwiga Wolfowa (A. Z. S.) i Lisicka (Warsz. Klub Wioślarek). Natomiast na regatach pierwsze miejsce zdobywa Banczerówna, a na dwójkach Kulińska.

Ponieważ ostatnio pogoda dopisywała, rozegrano więc jeszcze cały szereg meczów *tennisowych* w różnych miastach — w Wilnie, Poznaniu, Lublinie, Łodzi, Krakowie.

Największe znaczenie ma jednak międzynarodowy turniej tenisowy, który się odbył w pierwszej połowie października w Meranie, gdzie o puchar „Lenza” walczyli przedstawiciele jedenastu narodowości, a w ich liczbie drużyna polska.

Naszemi przedstawicielkami były Jędrzejowska i Dubieńska, ta ostatnia nie przeszła jednak do finału.

Jędrzejowska spisała się świetnie, bijąc początkowo mistrzynię Węgier i Niemiec, jednakże w rundzie finałowej uległa honorowo tegorocznej zwyciężczyni, młodej szwajcarce Aussem.

Dzięki swej pięknej grze i dobrej formie, uzyskuje Jędrzejowska tytuł „czwartej rakiety świata”.

Prócz tego rozegrano w tych dniach cały szereg meczów w koszykówkę, siatkówkę i Hazenę. Emka.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Otwarcie sezonu operowego. — Pierwszy wielki koncert symfoniczny w Filharmonji.

w Teatrze Wielkim.

Wznowienie „Manru” — opery Ignacego Paderewskiego

Zgodnie z tradycją, przyjętą od wielu lat, sezon operowy otwiera „Halka” Moniuszki, w zmienionej inscenizacji, w nowej obsadzie, czasem z pewną przyprawą, z ozdobniejszą szatą choreograficzną, ale w gruncie rzeczy zawsze ta sama „Halka”, o muzyce świeżej, melodyjnej, o najpiękniejszym chórze męskim i o tematach ludowych, promieniających zawsze niesłabnącym wdziękiem.

Ale, jak Jontek, mam żal do Halki-niebogi, że ją właśnie nazwano operą narodową. Dyskretny temat — uwiedzenie przez panicza dziewczyny z ludu — nie jest tak dalece zaszczytnym przyczynkiem do historii szlacheckiego dworu, aby go stawiać na koturnach narodowych.

Tym razem na otwarcie sezonu operowego wystawiono ją w nowej obsadzie. Nowo zaangażowana śpiewaczka ze Lwowa, Platówna, okazała się w kreacji Halki bardzo cennym sopranem dramatycznym. Piękny i dźwięczny głos p. Platówny posiada głębię i siłę wyrazu, a jej znajomość śpiewu, opanowanie techniki i odcieni dynamicznych, jest równorzędne z wartością wokalną tej bardzo utalentowanej śpiewaczki.

Po dłuższym pobycie zagranicą, Mossakowski wystąpił w partji Janusza. Głos jego przemienia się zawsze, jako cudowny dźwięk absolutny, niezależnie od kultury głosu i finezji wykonania; czaruje bowiem najszlachetniejszym brzmieniem barytonu.

Dobrym Jontkiem był Gołębiowski; Mankiewiczówna zawsze uroczą Zofją. Chór śpiewał dobrze; orkiestra pod dyktando Dołżyckiego grała starannie.

W każdym razie przedstawienie Halki nie nasuwa tych zastrzeżeń, które można zastosować do całego programu operowego na sezon bieżący. Zespół wokalny ma — szczególnie w głosach tenorowych — wyraźne braki. Ani Gołębiowski ani Bregy nie mogą być dla publiczności atrakcją. Opera jest starą formą, w której nowym wydarzeniem mogą być tylko piękne głosy. Tymczasem w obecnym sezonie wartość zaangażowanych tenorów nie przedstawia wielkiego znaczenia.

Z trzech pięknych sopranów, które w ubiegłym sezonie były podstawową siłą opery, ubyla, niestety, Czapska. Na szczęście, zachowała się Lipowska i Bandrowska. Zato uzupełniono zespół p. Cywińską-Bojanowską, która stanowczo nie ma danych do kreowania wielkich partji w operze. Ma przedewszystkiem dykcję sepleniącą, głos nieopanowany, górny registr ostry i niejednokrotnie detonuje.

Wśród mezo-sopranów zawsze pierwsze miejsce zajmuje Wermińska; wróciła także Leska, która umie być pożyteczną. Zupełnie zbędnym nabytkiem jest Nina Grudzińska. Ta długoletnia adeptka śpiewu nie ma stanowczo żadnych warunków wokalnych, aby być w operze. Śpiewa wprawdzie w zespołach, albo w małych partjach, ale głosu jej wcale nie słyhać. Sprawia wrażenie śpiewu w filmie, ale nie dźwiękowym.

Nie wiem, czyja destrukcyjna ręka kieruje złym losem opery. W każdym razie, wszystko jest tak zorganizowane, jakby dążono rozmyślnie do najszybszego zlikwidowania opery. W takich warunkach trudno od publiczności wymagać frekwencji i muzycznego uniesienia. Najgorsze jest to, że niema zasadniczego, odpowiedzialnego kierownictwa dyrekcji, które dawałoby

gwarancję przeprowadzenia nowych przedstawień i właściwego programu. Smutne to, ale prawdziwe.

Programem polskich utworów rozpoczęła sezon wielkich koncertów Filharmonja. Po dłuższej nieobecności w Warszawie dyrygował Grzegorz Fitelberg. Salę wypełniła publiczność muzyczna, mająca zawsze sentyment dla koncertu f-moll Chopina. Nastrój muzyki chopinowskiej udzielił się słuchaczom w „Warjacjach” Noskowskiego, a potem przyszła kolej na koncert, w interpretacji Józefa Turczyńskiego. Ale artysta był niezupełnie dysponowany a może zmęczony wykonaniem brawurowej „Fantazji” Paderewskiego, i koncert fortepianowy wypadł dość anemicznie. Zakończeniem programu była druga symfonia Szymanowskiego, wykonana świetnie i kierowana z przejęciem przez Fitelberga.

Nowy sezon zapowiada szereg ciekawych koncertów, ze współudziałem światowych dyrygentów i solistów.

* * *

„Manru” wznowiono w Warszawie po latach prawie trzydziestu i wydobyto z niesłusznego zapomnienia, aby uprzytomnić wielką wartość tej opery tym, którzy ją niegdyś słyszeli i pokazać ją nanowo młodszemu pokoleniu, które pod wpływem świeżych wrażeń może ocenić muzyczne piękno utworu scenicznego, opartego na tematach ludowych.

Ornamentacja muzyczna „Manru” nosi wyraźne cechy epoki, w której powstała; tematy góralskiego folkloru ujęte są w ramy bogatej harmonji i dlatego nie mają tej prostoty i swobody, którą przywróci jej muzyka współczesna. Ale zato, żywa i barwna instrumentacja ani na chwilę nie osłabia zainteresowania słuchacza. Muzyka orkiestralna Paderewskiego ma żywiołowy temperament, rytmikę, pulsującą życiem i szczerością, i nieklamany dar w symfonicznym przeprowadzeniu motywów przewodnich, o silnym wyrazie w linii melodyjnej, organicznie związanej z treścią dramatyczną.

Wpływy Wagnera, którym ulegała cała ówczesna twórczość operowa, nie wysuwają się w muzyce „Manru” na pierwszy plan, albowiem Paderewski umiał je przetopić dla własnych celów i wyzyskać schemat techniki wagnerowskiej do stworzenia opery o charakterze wybitnie polskim.

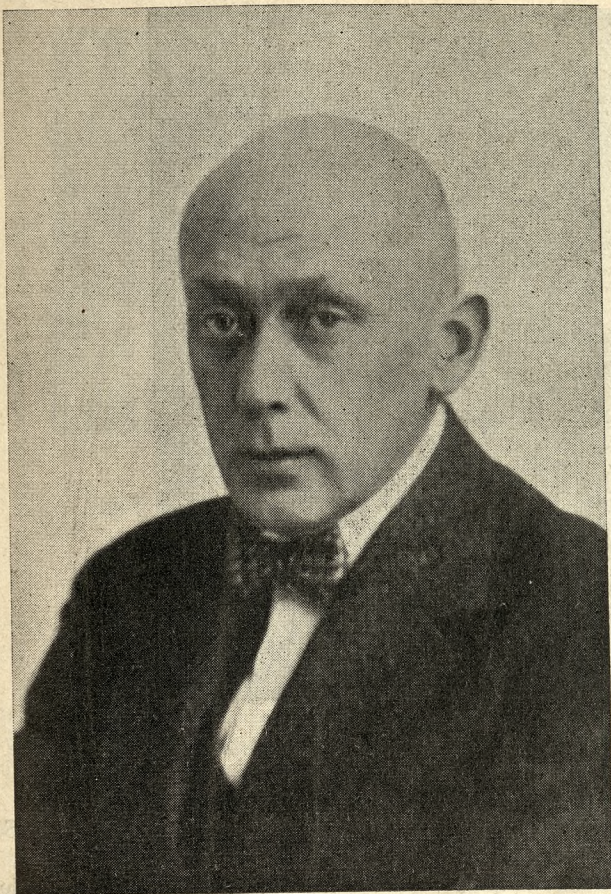
Na przestrzeni lat opera „Manru” nie straciła świetnych barw muzycznego piękna. Zmieniła się tylko znacznie forma kompozycji operowej, która dla wyrażenia swoich myśli, nastrojów i uczuć nie posługuje się już aparatem o tak wielkiem bogactwie technicznym; zmieniły się też upodobania publiczności, dla której ta opera, pod każdym względem doskonale przeprowadzona, melodyjna, barwna, o ciekawej treści ludowej — należy już do przeszłości. Jednakże w polskiej twórczości operowej, która poza Moniuszką nie ma opery, utrzymującej się stale w repertuarze, „Manru” Paderewskiego zajmuje pierwsze miejsce, pod względem wysokiego poziomu i czysto muzycznych wartości, niezależnych od czasu, zmiany kierunku i nowoczesnych prądów w kompozycji. Opera ta była wystawiona przed laty i przyjęta z wielkim entuzjazmem we Lwowie, w Krakowie, potem w Dreźnie i w wielu miastach północnej Ameryki.

„Manru” wystawiono w teatrze Wielkim z dużym nakładem pracy. Asem w tej operze jest Platówna w partji Ulany; głos jej, o odcieniu mezo sopranowym w dolnym rejestrze brzmi przepięknie. Gruszczyński jest dobrze wybranym Manru. Wiśniewski — to doskonały Urok; Karwowska rozwija się coraz lepiej, choć partja cyganki Azy nie leży w charakterze jej głosu.

Dołżycki dobrze prowadzi orkiestrę, a Sillich chóry. Reżyserja nie dała nic nowego; dekoracje Wodyńskiego bardzo ładne. Libretto wymaga skrótów we wszystkich aktach.

Całość przedstawienia pozostawia najlepsze wrażenie dobranej spędzonego wieczoru.

P. L.



Ś.P. WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

Znowu ubył jeden z najwybitniejszych beletrystów polskich, chlubnie znany ze swych powieści, komedji obyczajowych i feljetonów. Złośliwa angina zabrała Włodzimierza Perzyńskiego w pełni sił, bo w 52-im roku życia, i to w chwili, gdy jego żywotny talent i stosunek do rzeczywistości ulegał znamiennej ewolucji pod wpływem nowych, powojennych warunków życia polskiego.

Perzyński zaczął od poezji. Trzydzieści lat temu ukazał się jego pierwszy i ostatni zbiorek, pełen sentymentu i zadumy serdecznej. Do tej formy wypowiedzania się w mowie wiązanej i rytmicznej Perzyński nigdy już później nie wrócił. Ale nieuleczalny poeta i marzyciel pokutował zawsze w tym ironiście i czujnym obserwatorze życia. Ostrze jego satyry, maczane nieraz w żółci i w jądzie szlachetnego oburzenia, jakże często namaszczała oliwa smętnej zadumy nad marnościami spraw ludzkich, i dziecięcej ufności i wiary w zwycięstwo dobrego człowieka.

Stąd w powieściach i komedjach Perzyńskiego ten rozłam między dwiema rasami ludzkimi: rasą życiowych karierowiczów, z upodobaniem nurzających się w podłości, i rasą życiowych niedołęgów - marzycieli, którzy łamią sobie skrzydła w walce z wiatrakami. Pierwsi reprezentują materję, drudzy — ducha. Do pierwszych należy świat użycia, do drugich — świat idei. I choć ci drudzy padają zwykle w nierównej walce, do nich jednak, do tych zwyciężonych, należy przyszłość świata.

Perzyński nigdy tego nie powiedział wprost: jego postawa wobec zjawisk życia była zbyt obiektywna, a spojrzenie zbyt ironiczne, aby mógł się zniżyć do tendencji, do raczenia swych

widzów i czytelników t. zw. obrokiem moralnym. Ideę swą rozwijał w samym procesie akcji komedjowej, czy powieściowej, prowadzonej zawsze z dużą znajomością rzemiosła, z umiarem i ze smakiem. Był mistrzem w wystawianiu na sztych i przypieraniu do muru podwójnej moralności, tak często spotykanej w środowisku burżuazyjnym. Jego komedje — jak np. „Lekko-myślna siostra“, „Aszantka“, „Uśmiech losu“, powieści: „Nie było nas, był las“, „Raz w życiu“ i „Klejnoty“ — cieszyły się dużym powodzeniem i poczytnością wśród szerokiej publiczności.

W ostatniej swej powieści, w „Klejnotach“, Perzyński, malujący dotychczas typy przeciętnych samicek burżuazyjnych, pokusił się o odtworzenie postaci kobiety nowej — kobiety samodzielnej, wnoszącej do miłości i małżeństwa świat nowych pojęć. Dał typ nieco mózgowy, swą przesadną demagogją odskakujący od aktualności kobiecej; poruszył raczej zagadnienie, niż stworzył człowieka. Dyskusja, jaka na łamach prasy rozwinęła się dookoła postaci Kasi, dowodzi jednak, że problemat był żywy, choć ujęty nieco jednostronnie. Świadczy on o niesłabnącej czujności Perzyńskiego, który do ostatniej chwili chciał być myślącym zwierciadłem życia.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DYSKUSJA BĘDZIE PO WYBORACH.

Tymczasowa Komisja do opracowania projektu powszechnej służby obywatelskiej kobiet komunikuje, że z powodu okresu wyborczego, termin nadsyłania uwag, dotyczących projektu, zostaje przesunięty do dnia 15 grudnia r. b.; przyczem zmieniony zostaje adres, pod którym należy kierować odpowiedzi, a mianowicie: Bednarska 23 m. 46. Tel. 204-28.

BRACIA Z ZA GÓR CHCĄ WRÓCIĆ DO POLSKI.

W tych dniach przybyła do stolicy delegacja przedstawicieli Spiszu i Orawy. Delegaci i delegatki złożyli na grobie Nieznanego Żołnierza olbrzymi wieniec. Na gałęziach jedliny ułożono z koralu jarzębinowych wzruszający napis: „Przywróć nas Polsce“.



Porwóć nas Polsce!



Panie: Janina Strzelecka, Eugenia Waśniewska i Anna Brzezińska, które przemawiały na Akademii Kobiectw.

W d. 26 października w niedzielę Stołeczny Wyborczy Komitet Organizacji Kobiectw urządził piękną Akademię Kobiectw w sali kina „Casino“. Akademię rozpoczął referat posłanki Eugenji Waśniewskiej, malujący sytuację polityczną i ekonomiczną u nas i zagranicą.

Radna miejska p. Anna Brzezińska, kandydatka do Senatu, rozpatrzyła sprawę religijności obozu rządowego.

Wreszcie p. Janina Strzelecka w pięknej formie stylowej zamknęła postulat pracy dla państwowości polskiej pod temi samemi hasłami, jakie przyświecały naszym praprzodkom.



W dniu otwarcia jubileuszowego Zjazdu dwudziestopięciolecia walki o szkołę polską, delegacja Zjazdu złożyła wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza.



Prezydjum Zjazdu. Od lewej do prawej strony panie:
Halina Mamelokowa, Kamila Nitschowa, Marja Karczewska, Gertruda Dobrowolska, Irena Szumlakowska.

CO NAM DAŁ PIERWSZY ZJAZD PAŃ DOMU

Pierwszy Zjazd Pań Domu rozpoczął się w dniu 21 października nabożeństwem w kościele Świętego Krzyża, poczem członkinie Zjazdu zgromadziły się w wielkiej sali gmachu Techników.

W obecności 650 uczestniczek pani Iza Mandukowa — przewodnicząca Koła Studjów Gospodarstwa Domowego — otworzyła Zjazd, prosząc do Prezydjum na przewodniczącą p. Marję Karczewską, oraz panie: Kamillę Nitschową, przedstawicielkę Kół Krakowa i Katowic, Gertrudę Dobrowolską z Poznania i Irenę Szumlakowską z Warszawy, jako zastępczynię; panią Mamelokową z Sosnowca na sekretarkę i panią Bormanową z Warszawy na zastępczynię.

P. prezydent miasta Warszawy witał Zjazd w imieniu Stolicy, zwracając się do zgromadzonych na sali uczestniczek Zjazdu w słowach, pełnych wiary w lepsze jutro, które budować będą kobiety, świadome swej roli w pracy nad podniesieniem dobrobytu i kultury rodzin polskich.

Bezpośrednio po przemówieniu p. prezydenta Słomińskiego pani Iza Mandukowa wygłosiła referat, w którym zobrazowała cele i korzyści zrzeszenia pań domu. Referat wywołał żywą dyskusję, w której brali udział pp.: Dobrzańska, inż. Piotr Drzewiecki w imieniu Naukowej Organizacji Pracy, pp.: Komornicka, Eleonora Czarnowska, Neronowiczowa, Ulanicka, Szumlakowska, Jurowa, Faliszewska, Nitschowa, Dobrowolska, Chodorowska, Sokołowska.

Posiedzenie popołudniowe Zjazdu Pań Domu rozpoczęło pod znakiem żywego zainteresowania, jakie wzbudziły referaty na temat organizacji gospodarstwa domowego zagranicą.

Pani Marja Ankiewiczowa zaznajomiła nas z zasadami organizacyjnymi gospodyń austriackich (Rohö); pani Eleonora Czarnowska zobrazowała organizację gospodarczą kobiet belgijskich (Boerenbund), liczącą 855 Kół i 102.000 członkiń; pani Elżbieta Kiewnarska zreferowała wyczerpująco sprawę służby



W pierwszym rzędzie zasiada honorowe Prezydjum Zjazdu — od lewej do prawej pp.: Marja Zaborowska, naczelna Szkolnictwa Zaw.; Zygmunt Słomiński — Prez. m. Warszawy; pani Iza Mandukowa, przew. K. St. Gosp. Dom.; profesor Karol Adamiński, Prezes Instytutu Naukowej Organizacji Pracy.



P. Marja Chmieleńska.



P. Eleonora Czarnowska.



P. Marja Karczewska.



P. Elżbieta Kiemnarska.

domowej w Wiedniu; wreszcie pani Nitschowa zapoznała nas z organizacjami kobiecymi w krajach skandynawskich.

Imponujące dorobki wszystkich tych organizacji; wpływ, jaki wywierają na życie rodzinne i sprawy, związane z gospodarstwem domowym — otworzyły przed słuchaczkami szerokie horyzonty wydajnej pracy, do której, jak świadczy o tem zainteresowanie Zjazdem, poczuwają się w całej pełni.

Na zakończenie pani Huberowa zaznajomiła uczestniczki Zjazdu z korzyściami, jakie daje zrzeszonym gospodyniom Instytut Gospodarstwa Domowego, który zorganizował się na wzór istniejących już w New-Yorku, Londynie, Lipsku, Pradze i Amsterdamie.

Drugi dzień obrad. Posiedzenie ranne poświęcono opracowaniu podstaw organizacyjnych przyszłego zrzeszenia Pań Domu. Poszczególne punkty dyskusji wywołały żywą wymianę zdań. Wniosek „Związku Gospodyń Domu“ upadł, ustalono natomiast nadanie zawiązującemu się zrzeszeniu nazwy „Związek Pań Domu“, w myśl twierdzenia, że każda gospodyni — niezależnie od tego, czy staje sama przy warsztacie pracy domowej, czy korzysta z płatnej współpracy pomocnicy domowej — jest „Panią Domu“.

Związek Pań Domu jednogłośnie postanowił dążyć do:

1. Podniesienia poziomu życia rodzin polskich;
2. ulepszenia gospodarstw domowych;
3. kształcenia gospodarczego kobiet;
4. najszerzej pojętej samopomocy.

Pozatem ustalono wysokość składki (50 gr. miesięcznie od członkini) i wybrano Komisję organizacyjną Związku z *Warszawy* — panie: Marję Karczewską, Izę Mandukową, Eleonorę Czarnowską, Irenę Szumlakowską, Elżbietę Kiemnarską; z *Górnego Śląska* — panią Kamillę Nitschową; z *Krakowa* — panią Rollową; z *Sosnowca* — panie: Zofję Jaguczań-



P. Iza Mandukowa.



P. Irena Szumlakowska.

ską i H. Mamelokową; z *Poznania* — panie: T. Skórzewską i Z. Mycielską.

Po jednogłośnie uchwaleniu powyższych wniosków pani Iza Mandukowa wygłosiła referat „O technice zakładania Kół Gospodyń“, poczem uczestniczki Zjazdu zwiedziły Państwowe Seminarjum Naucz. Gospodarstwa przy ul. Nowowiejskiej i Warszawską Szkołę Pielęgniarską przy ul. Koszykowej.

Popołudniowe posiedzenie poświęcono wysłuchaniu niezwykle interesującego i pouczającego referatu pani Ireny Szumlakowskiej: „O zasadach organizacji pracy w gospodarstwie domowym“, ożywionego przezrociami, dzięki którym słuchaczki zapoznały się z najnowszymi wynalazkami z dziedziny gospodarstwa domowego.

Trzeci i ostatni dzień Zjazdu rozpoczął się zwiedzeniem wzorówki Koła Studjów Gospodarstwa Domowego (ul. Kazimierzowska 60). Wykład pani Marji Chmieleńskiej: „O nowoczesnych urządzeniach gospodarskich“ — z licznymi pokazami, wzbudził wśród słuchaczek żywe zainteresowanie i głośno wypowiedaną chęć wprowadzenia do własnych gospodarstw ulepszeń, z jakimi zaznajomił je entuzjastycznie przyjęty wykład.

Pani Huberowa, oprowadzając członkinie Zjazdu po Instytucie Gospodarstwa Domowego, z uznania godną dokładnością zaznajamiała nas z dorobkami pracy Instytutu, podkreślając doniosłe ich znaczenie dla wydajności pracy i oszczędności na terenie gospodarstwa domowego.

Zainteresowanie, jakie panowało wśród zwiedzających, było najlepszą miarą wartości zademonstrowanych dorobków.

Z lokalu Koła Studjów Gospodarstwa Domowego wycieczka udała się na ulicę Puławską do Pierwszego Miejskiego Ośrodka Zdrowia, po którego zwiedzeniu nastąpiła przerwa obiadowa.

Z uderzeniem godziny 16-ej rozpoczęło ostatnie posiedzenie Zjazdu odczytaniem odpowiedzi pani Prezy-

dentowej Mościckiej, na depszę, wysłaną w dniu otwarcia Zjazdu.

Pani Marja Karczewska zagaiła zebranie, podkreślając, jak dalece Zjazd dowiódł zrozumienia potrzeby pracy na terenie gospodarstw domowych; następnie wezwała uczestniczki do uczczenia przez powstanie zmarłych przodownic ruchu gospodarczego kobiet polskich — ś. p. generałowej Zamoyskiej, Cecylji Platerówny i Wandy Czartoryskiej.

Pani Mamelokowa odczytała uchwalone przez Zjazd liczne i szczegółowe wnioski. Po odczytaniu depesz od poszczególnych osób i organizacyj krajowych, oraz zagranicznych Zjazd zęgnął przedstawicielki Organizacji Kobięcych, prasy i Polskiego Radja.

Pani Nitschowa odczytała wykaz organizacyj, które zgłosiły akces do „Związku Pań Domu“, a pani Szumlakowska podniosła zasługi, położone przy pracach organizacyjnych Zjazdu pp.: Izy Mandukowej i Ludwiki Bormanowej, którym wdzięczność swą i uznanie uczestniczki Zjazdu wypowiedziały długo niemilknięciami oklaskami.

Pani Marja Karczewska w serdecznych słowach zamknęła Zjazd, podkreślając solidarność i niezamącony niczem nastrój, jaki towarzyszył obradom.

Po zamknięciu Zjazdu wszystkie uczestniczki udały się na grób Nieznanego Żołnierza, na którym złożyły wieniec.

Godz. 20 — w gmachu Techników zaczynają się gromadzić strojne panie. Gwar, powitania, śmiech, rozmowy, wymiana wrażeń; a nad wszystkim góruje żal, że bliska jest chwila rozstania.

W rześcicie oświetlonej sali stoły strojne pękami barwnych chryzantem; służba uwija się cicho i sprawnie, obnosząc dania, misternie spiętrzone na olbrzymich półmiskach. Przy stole prezydjalnym toczy się żywa wymiana zdań. Przewodnicząca Zjazdu, pani Marja Karczewska, dzieli się wrażeniami z niedawno odbytej wycieczki do Belgji z panią ministrową Beckową, która obecnością swoją na bankiecie pożegnalnym podkreśla żywe zainteresowanie i sympatię dla nowopowstałego Związku Pań Domu. Na dany sygnał salę zalega milczenie. Pani Eleonora Czarnowska w prostych, podniosłych i ciepłych słowach mówi o posłannictwie kobiety na terenie domu i rodziny. Burzliwe oklaski raz jeszcze dziękują prelegentce, której przemówienia w czasie Zjazdu budziły zawsze szczery zachwyt i uznanie. Dalej przemawia pani Mamelokowa, a pani Iza Mandukowa oświadcza, że: członkinie Zjazdu nie mogą rozjechać się bez wynagrodzenia krzywdy, jaka stała się na Zjeździe „panom domu“, których pominięto milczeniem. Jako zaślęuczynienie, prelegentka zgłasza, aczkolwiek spóźniony, jednak nagły wniosek:

„Związek Pań Domu zwraca się do „panów domu“, zachęcając ich do zwołania w najbliższym czasie zjazdu panów domu i proponuje, aby na zjeździe takim podjęli — jak to uczyniły panie domu — prace wstępne nad doskonaleniem się w swoim zawodzie“.

Przeblęsk subtelnej, uśmiechniętej ironji i finezyjnego dowcipu przyjęto salwą entuzjastycznych oklasków.

Pan Bielecki — prezes Ligi Samowystarczalności Gospodarczej — zwołuje ad hoc zebranie obecnych na sali „Panów Domu“ i po chwili ogłasza następującą rezolucję:

„W imieniu „Panów Domu“ zwracam się do pierwszego ogólnokrajowego Zjazdu Pań Domu z ser-

decznem podziękowaniem za okazane im zainteresowanie, komunikując równocześnie, że rezygnują oni z organizowania zjazdu, w przeświadczeniu, iż „nie należy złościć złota, ani fiołków skrapiać pachnidłami“.

Szkoda, że wśród biesiadników nie wszyscy docenili treść przysłowia „dobry żart tyńfa wart“ i nie powitali żartu szczerym śmiechem.

Pani Marja Ankiewiczowa w serdecznych słowach zwróciła się do prasy stołecznej, dziękując jej za gotowość, z jaką zawsze służy dobrej sprawie. wreszcie wszyscy obecni złożyli podziękowania pani Elżbiecie Kiewnarskiej za trud, podjęty nad zorganizowaniem bankietu, który zapisał się w pamięci uczestniczek Zjazdu i zaproszonych gości złotymi zgłoskami. Zawiodła nas tylko pani Well, która, jak to głosiła niedyskretna fama, przyrzekła zabrać głos, a w ostatniej chwili z wrodzonym sobie wdziękiem — odmówiła.

Zebranie towarzyskie trwało do godz. 23-ej, rozwiązując się pod znakiem ogólnego, serdecznego porozumienia i wiary w owocność podjętej pracy.

Wanda Dobrzańska.

WNIOSKI UCHWALONE PRZEZ ZJAZD PAŃ DOMU:

I. a) Stworzyć jednolitą i odrębną organizację pod nazwą: „Związek Pań Domu“.

b) Wyłonić komisję organizacyjną Związku dla opracowania statutu.

c) We wszystkich ośrodkach kraju tworzyć oddziały Związku.

d) Określić składkę członkiń Związku na zł. 6 rocznie, z czego 5/10 na potrzeby Oddziału, a 1/10 na potrzeby Związku.

e) Grupy, Koła i Stowarzyszenia, które zgłosiły swój akces, wezwać do złożenia statutów.

f) Uważać komisję organizacyjną do czasu uchwalenia statutu Związku za organ centralny o charakterze organizacyjnym, informacyjnym i doradczym.

g) Do Komisji organizacyjnej Związku powołać z prawem kooptacji pp.: M. Karczewską, E. Czarnowską, A. Rollową, T. Skórzewską, I. Kompertową, I. Mandukową, I. Szumlakowską, Z. Jaguzańską, Z. Mycielską, Bonkowicz-Sittauerową, E. Kiewnarską, K. Nitschową, H. Mamelokową, F. Garapichową i Dawydowiczową.

II. a) Gospodarstwo domowe uznać za pracę zawodową.

b) Żądać od czynników kierowniczych zrównania zawodu pani domu z innymi zawodami.

c) Dla kobiety, która prowadzi własne gospodarstwo domowe, ustalić nazwę *pani domu*.

d) Żądać uznania nazwy „pani domu“ i wykonywanego zawodu „gospodarstwo domowe“ przy legitymowaniu się nawnątr, w spisach ludności i t. p.

III. Zwrócić się do czynników kierowniczych z następującymi przedłożeniami:

a) Wprowadzenie nauki gospodarstwa domowego do szkół narówni z nauką czytania i pisania.

b) Przeprowadzenie zmiany programów niższych szkół rolniczych żeńskich przez pogłębienie wiadomości z dziedziny domoznawstwa.

c) Założenie uczelni, kształcącej instruktorki dla gospodarstw domowych.

d) Przeprowadzenie akcji w celu spopularyzowania wśród wychowanek szkół powszechnych i średnich pracy gospodarstwa domowego, jako zawodu.

IV. Polecić Związkowi Pań Domu:

a) Stałe określone opodatkowanie się członkiń na rzecz Instytutu Gospodarstwa Domowego.

b) Uznanie pisma „Organizacja Gospodarstwa Domowego“ za oficjalny organ Związku.

c) Zajęcie się utworzeniem instytucji „Siostr gospodarskich” na wzór takich instytucji norweskich, z uwzględnieniem warunków polskich.

d) Uzyskanie wpływu na normowanie warunków przywozu towarów zagranicznych w celu: 1) ułatwienia importu owoców, 2) utrudnienia importu wyrobów luksusowych.

e) Rozbudzenie zainteresowania do ruchu spółdzielczego.

f) Jak najszersza propagandę używania w gospodarstwie domowym gazu zamiast węgla.

g) Wyjednanie w zarządach poszczególnych elektrowni potaniania prądu.

V. Przekazać Instytutowi Gospodarstwa Domowego:

a) Sprawę dostosowania nowoczesnych wynalazków z dziedziny gospodarstwa do potrzeb ludności wiejskiej, nie mogącej korzystać z prądu elektrycznego, ani gazu.

VI. Wyjednać u prasy szerokie uwzględnienie wiadomości z dziedziny domoznawstwa.

VII. Polecieć wszystkim paniom domu i oddziałom Związku:

a) Kształcenie i samokształcenie gospodarce.

b) Prenumerowanie pism fachowych z „Organizacją Gospodarstwa Domowego” na czele.

VIII. Polecieć zrzeszeniom i związkom kobiecym tworzenie stypendjów dla specjalistek w dziedzinie domoznawstwa.

IX. Polecieć reprezentowanym na Zjeździe organizacjom rozpisanie konkursu na pieśń o „Domu polskim”.

„PRZY MĘŻU” I „PANI DOMU”

W związku z ukończonym świeżo Zjazdem pań domu, poruszono sprawę ewentualnej zmiany dwóch potocznie używanych określeń w terminologii towarzysko-zwyczajowej i administracyjno-społecznej: „pani domu” i „przy mężu”. Zaczę od tego drugiego, gdyż stanowczo wymaga ono jaknajszybszej rewizji.

Istnieją pewne wyrażenia, które rażą swą strupieszalą formą, bo w nich wypróchniała treść. Zamiast istotnego odpowiednika myślowego, budzą skojarzenia humorystyczne. „Dziecko przy piersi”, „kobieta przy mężu”. I jedno i drugie określenie stwierdza bezradność i niewolniczą niemal zależność otwiera dziecka „przy piersi” czy kobiety „przy mężu”, i, o ile zupełnie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy, gdy chodzi o niemowlę — wobec dzisiejszego stanowiska kobiety mijają się całkowicie z prawdą.

Określenie to powstało w czasach, gdy kobieta z pod władzy rodzicielskiej przechodziła bezpośrednio pod władzę i opiekę męża. Nie tworzyła odrębnej jednostki społecznej; żadnej, że się tak wyrażę, dla rejestrów meldunkowych indywidualnej twarzy nie miała. Jeśli owdowiała, lub żyła samotnie w celibacie, pisało się jej: „z własnych funduszków”, nigdy: „z takiej to a takiej pracy”. Miało to wyglądać dostojnie — a wyglądało często podejrzanie.

Czasem przy kobiecym nazwisku w paszporcie, lub na liście lokatorów zjawiał się skromny przypisek „nauczycielka”, „urzędniczka”, „emerytka”, ale równał się niemal świadectwu ubóstwa. Zawsze to lepiej „pozowało” egzystować lub wegetować „przy mężu”, niż jeść samodzielnie, choćby suchy kawał chleba z własnej pracy zarobkowej.

Dzisiaj czasy się zmieniły. Często tak bywa, że przy nazwisku męża figuruje „porucznik”, przy nazwisku żony „doktor medycyny”; pan jest urzędnikiem, pani nauczycielką; pan adwokatem, pani artyst-

ką i t. p. Zdarza się też coraz częściej, że mąż jest np. studentem, albo nic nieznaczącym wyrobnikiem intelektualnym, a pani — znaną artystką, działaczką społeczną, właścicielką modnej wytwórni, lub dużego zakładu przemysłowego. Nie ulega wątpliwości, że to ona właśnie swymi dochodami utrzymuje dom, a swym imieniem, zasługami, czy talentem nadaje mu ton, prestige, czasem sławę i rozgłos. W potocznej rozmowie mówi się wówczas o małżonku takiej pani: „mąż pani X”, i niema w tem nic ubliżającego, bo jest równie zaszczytnie być żoną utalentowanego, czy sławnego mężczyzny, jak mężem takiejże żony. Któżby śmiał takiemu panu napisać w paszporcie: „przy żonie”?! Uważano by to za poniżenie godności ludzkiej i osobistą obrazę. A kobieta?

Kiedy swój czas, zdrowie i siły oddaje całkowicie na użytek domu i rodziny, czy zasługuje wówczas na owo lekceważące określenie „przy mężu”?

Wiemy, jak trudnym i ciężkim, szczególnie w dzisiejszych warunkach ekonomicznych, jest powołanie gospodni domu, traktującej poważnie swoje obowiązki. Wiemy, że kobieta, która ten dom prowadzi, musi być jednostką rozumną, samodzielną, obdarzoną dużą dozą inwencji, inicjatywy, zmysłu organizacyjnego, a nie luksusowym spręcikiem „przy mężu”; nie dodatkiem do czegoś, ale *ośrodkiem, kręgosłupem domu i rodziny*.

Przeżył Waclaw Grubiński nazwał ją żartobliwie: „ministrem spraw wewnętrznych” domu, i trafnie ujął istotę rzeczy. Bo, podobnie, jak minister, pani domu ma daleko idące pełnomocnictwa i ponosi odpowiedzialność za nieumiejętne z nich korzystanie.

A istoty, odpowiedzialnej za swoje czyny, nie można traktować, jak niepełnoletnią, ubezwłasnowolnioną, lub... niespełna rozumu.

„Przy rodzicach”, „przy mężu” — tak się mówi o osobach, które same przez się niczem nie są, które nie stanowią odrębnej jednostki ekonomicznej, które, pro prostu mówiąc, są przez kogoś utrzymywane.

A dzisiejsza kobieta nie chce już być legalną utrzymanką swego męża: chce być jego współpracownikiem i towarzyszem — wszystko jedno, czy w pracy zarobkowej, czy domowo-gospodarczej.

Nie chce być utrzymywana, ale chce, może i powinna być wynagradzana za swoją pracę tak, jak każdy inny człowiek.

To jest prawo, którego słusznie się domaga, a wyrazem zewnętrznym tego prawa ma być zmiana uwłaczającego już dzisiaj godności ludzkiej określenia „przy mężu” na racjonalniejszy, odpowiadający rzeczywistości, i ściślej związany z jej społecznym stanowiskiem termin: „pani” czy „gospodyni domu”.

Na Zjeździe Pań Domu uchwalono jednomyślnie termin „pani domu”, jako ogólnie obowiązujący, i słusznie. Obawy co do rzekomej niedemokratyczności tej nazwy były płonne i są objawem tego przeczulenia demagogicznego, które wprowadza zamęt w ustalonych pojeciach i zwyczajach. Dzisiaj każdemu się mówi „pan”, „pani” — wszystko jedno, czy to jest minister, czy bezrobotny, elegantka w koronkach i brylantach, czy żebraczka z pod kościoła. „Pan”, „pani” jest ogólnikową formą określenia ludzi we wzajemnym towarzyskim, czy społecznym współżyciu.

Panią swego domu można być nawet w izdebce pod schodami — a można nią nie być i we wspaniałych apartamentach. Cała rzecz w tem, czy się z tej izdebki lub pałacu umiało stworzyć dom, co, niestety, nie każda kobieta potrafi.

Ewa.

JEDNOŚĆ (EINIGKEIT)

Brak wykwalifikowanej służby i stałe jej nieporozumienia z pracodawcami stanowią nietylko naszą powojenną bolączkę. Cierpią na nią w równej mierze (a może i w większej) i inne kraje starej Europy, już nie mówiąc o Ameryce Północnej, gdzie służba domowa dla klasy średnio zamożnej prawie nie istnieje. Wszędzie jest mniej więcej to samo: wygórowane wymagania, brak fachowych wiadomości, przesadzone pojęcie o prawach, żadnego poczucia obowiązku ze strony służących, oraz zupełna nieumiejętność zastosowania się do nowych warunków życiowych, zrozumienia zmian, zaszłych w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu — ze strony pań domu.

Dużo słyszałam o znakomitem prawodawstwie służbowym austriackim, które, rzekomo, rozstrzygnęło już stanowisko służby domowej i uregulowało jej stosunek do chlebodawców.

Będąc przed paru tygodniami w Wiedniu, całe trzy dni poświęciłam poszukiwaniom i studjom sprawy tamecznej służby domowej.

Przejrzałam dokładnie ustawy z 26 lutego 1920 r. i z 26 marca 1926 r., składające się na tak zwane umowy służbowe, obowiązujące we wszystkich miastach i miasteczkach austriackich, liczących ponad pięć tysięcy mieszkańców. Umowa ta, ułożona i przeprowadzona przez parlament (przez jego socjal-demokratyczną większość), idzie bardzo daleko w kierunku nadania wielkich swobód i zagwarantowania różnych wygód służbie domowej, jest jednak ułożona z dużym poczuciem sprawiedliwości i, jeżeli daje wiele praw, nakłada też i poważne obowiązki.

Obowiązuje ona nietylko niższą służbę domową, lecz i wszelkich wyższych funkcjonariuszy, zostających w jakimkolwiek stosunku służbowym z osobami prywatnymi, a więc: pielęgniarki, wychowawczynie, nauczycielki domowe, osoby do towarzystwa, sekretarze prywatni i t. d.; nosi nazwę prawa dla pomocników domowych.

Nie o niej jednak mam zamiar mówić dzisiaj — zastrzegając sobie szczegółowe jej rozpatrzenie w najbliższej przyszłości — lecz o instytucji, którą mi się udało dwukrotnie i dokładnie zwiedzić: o Stowarzyszeniu „Jedność“ (Einigkeit — odpowiednik naszych Związków Zawodowych Służby Domowej), do którego należą tysiące tak zwanych pomocnic domowych i robotnic domowych.

Prowadziłam długie rozmowy z przewodniczącą związku, panią Toni Platzer, oddaną całym sercem swojej pracy nad podniesieniem poziomu etycznego służby domowej; z zarządzającą schroniskiem, z bezrobotnymi służącymi, chwilowo zamieszkującymi przytułek, i doszłam do przekonania, że najdoskonalsze prawodawstwo nie zmieni nic w stosunkach ludzkich, o ile ludzie sami się nie zmieniają, nie staną się doskonalsi.

Każdy paragraf prawa można ominąć, a im więcej tych paragrafów, tem więcej punktów spornych, tem więcej wybiegów dla omijania tych paragrafów. Sądy pracy zawałone są sprawami o niesłuszne rozwiązanie umowy służbowej z jednej i z drugiej strony. Służące zmieniają co parę miesięcy posady, panie równie często zmieniają służące; rozgoryczenie panuje z obu stron.

Są jednak bardzo poważne rzeczy, wypracowane przez „Jedność“ w kierunku uregulowania stosunków między pracownikami a pracodawcami.

Do nich w pierwszym rzędzie należy taryfa płac minimalnych, ustanowiona w porozumieniu z magistratem stołecznego miasta Wiednia i z przedstawicielami i przedstawicielkami pokrewnych „Jedności“ organizacji. Rodzaje służby, czy raczej stopnie służbowe, a co zatem idzie, wysokość płacy miesięcznej, są ściśle zależne od kwalifikacyj, przyczem za miarodajne uważane są bądź świadectwa ukończonych szkół zawodowych (a jest ich mnóstwo — różnych kategorii i specjalności), bądź świadectwa z wiadomości, nabytych na uprzednich miejscach służby.

Należy zauważyć, że panią obowiązuje danie świadectwa odchodzącej służącej, jednak tylko z wymienieniem czasu pobytu i funkcji, jakie spełniała. Żadnych pochwał tej pracy służąca nie może wymagać.

Austrjaczki nie posiadają tak zniechęconych przez nasze służące książeczek służbowych; mają jednak kartę służbową — rodzaj dokumentu osobistego z fotografią. Za przyjęcie do służby osoby, nie posiadającej takiej karty, chlebodawca odpowiada bardzo ciężko.

Pensje nie są duże; powiedziałabym, że prawie niższe, niż w Warszawie, jeżeli uwzględnić wymagane kwalifikacje. Do nich również powrócę kiedy indziej.

Dzisiaj powiem o tem, co „Jedność“ daje stowarzyszonym. Przedewszystkiem więc — przytułek na wypadek bezrobocia, i jaki przytułek. Czystość, światło, powietrze, pomoc bezpłatna w znalezieniu nowej pracy. Lecz jest to jedyna rzecz darmowa, poza nią za wszystko się płaci. Za nocleg i pościel, za jedzenie i kąpiel. No, i podlega się dosyć surowemu regulaminowi. Przesiadywać zbyt długo w przytułku nie wolno, co też wobec tego, że pobyt w nim jest płatny, nie jest korzystne. W przytułku niczego nie uczą. Niema przy nim żadnych szkół kulinarnych, ani gospodarczych, żadnych restauracyj, ani jadłodajni. Natomiast zarząd stowarzyszenia jest w stałym kontakcie z różnymi gospodarzami szkołami miejskimi i kieruje tam swoje członkinie, mające posady, w celu nabycia wiadomości, uzyskania odpowiednich świadectw i posuwania się w górę w hierarchji służbowej.

Szkoły te też są płatne i to, na stosunki wiedeńskie, dosyć drogo płatne, gdyż oprócz czesnego, uczenice pokrywają koszt materiałów przy nauce szycia lub kapelusznictwa, koszt produktów przy nauce gotowania, przyczem same spożywają na miejscu to, co ugotowały. Mimo to, służące cisną się do tych szkół w chęci polepszenia swego bytu przez zdobycie wiadomości.

Podkreślam raz jeszcze, że wszystko, z czego korzystają stowarzyszone, jest płatne, gdyż głównym argumentem, wysuwanym u nas przeciw zakładaniu szkół dla służby domowej, jest ten, że służące przecież nie mogłyby płacić, więc nie byłoby skąd czerpać środków na takie szkoły.

Pani Elżbieta



CHCIEĆ — TO MÓC

Prawda życiowa, zawarta w tem przysłowiu, nie mogła nigdzie okazać się wyraźniej, jak w dziedzinie naszego jedwabnictwa.

Dziesięć lat temu nikomu u nas nie marzyła się nawet możność produkowania jedwabiu. Przyszły dwie rzutki i wytrwałe jednostki, zaczęły pracę od podstaw i dziś jest to może jedyna dziedzina naszego życia gospodarczego, która rozwija się nietylko pomyślnie, ale i w szalonym tempie.

Jeśli nic nie zahamuje rozwoju naszego jedwabnictwa, bardzo prędko osiągniemy w tej dziedzinie samowystarczalność.

Oto kilka cyfr, które najlepiej zilustrują rozmach, z jakim jedwabnictwo polskie idzie naprzód.

Starych drzew morwowych (pozostałych, jako spuścizna działalności ongi istniejącego Towarzystwa Jedwabniczego) jest około 300.000; drzewa te są jeszcze dziś podstawą hodowli jedwabnika, rozsiane po całym obszarze Rzeczypospolitej, nie wyłączając najzimniejszych sfer, jak Pomorze i Wileńszczyzna. W czasie zimy 1928 roku drzewa te zdały egzamin wytrzymałości i rozproszyły ostatnie wątpliwości co do możliwości rozwoju jedwabnictwa w Polsce. Według zebranych danych, wszystkie zwycięsko oparły się niesłychanym wprost w naszym klimacie mrozom.

Wyprodukowaliśmy w bieżącym roku około 20 tysięcy kilogramów świeżych oprzędów; część ich została przerobiona na jedwab w warsztatach tkackich w Milanówku i dała olbrzymią, jak na nasze warunki, sumę 65.000 metrów jedwabiu. Produkcją jedwabników zajmuje się dotąd około 400 osób, które nietylko znalazły w hodowli tej intratne zajęcie, ale mogą sobie powiedzieć, że przyczyniają się z pożytkiem do rozwoju nowej, niesłychanie doniosłej gałęzi bogactwa narodowego. Hodowcy ci rekrutują się przeważnie z pośród inteligencji i są zgrupowani przy stacji doświadczalnej w Milanówku pod Warszawą, którą kierują pp. Witaczkowie.

Na terenie Małopolski Wschodniej do jedwabnictwa wzięło się już około 600 małorolnych, a to dzięki inicjatywie i poparciu Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego.

Dzięki propagandzie jedwabnictwa, jaką prowadzą obie wyżej wymienione instytucje, w ciągu ostatnich trzech lat wysadza się w Polsce około 40.000 drzewek morwowych rocznie, oraz do 2.000.000 sztuk sadzonek, jako żywopłoty i krzewy.

Wyobraźmy sobie teraz, na jakim poziomie stanie jedwabnictwo nasze, gdy te wysadzone drzewa i krzewy staną się użytkowemi.

Tysiące rąk znajdą wówczas zatrudnienie w hodowlach, w przemyśle, który rozwój jedwabnictwa do życia powoła.

Cyfrы powyższe powinny przekonać najbardziej „niewiernych Tomaszów” i muszą zachęcić wszystkich, którzy rozporządzają bodaj kawałkiem ziemi, do sadzenia drzew i krzewów morwowych.

Doły pod drzewka powinny być duże i starannie zaprawione. Przy sadzeniu morwy zachowujemy te same zasady, co przy sadzeniu drzew owocowych. Jesienne sadzenie, zwłaszcza na gruntach lżejszych, w miejscowościach o mniejszych ilościach opadów atmosferycznych, daje lepsze rezultaty i jest mniej kłopotliwe, gdyż drzewka, sadzone wiosną, często trzeba podlewać.

Jesienne sadzenie ma jeszcze i tę dobrą stronę, że zyskujemy w ten sposób cały rok, gdyż zazwyczaj drzewka z jesiennego sadzenia możemy o rok wcześniej zacząć eksploatować.

Komu pora obecna wydaje się zbyt spóźniona, ten niech choć pokopie jesienią doły do wiosennego sadzenia. Drzewko, sadzone w „odleżałym” dole, rośnie zwykle lepiej, niż posadzone w dół zupełnie świeży.

Kto z wiosną chce przystąpić do założenia szkółki, koniecznie już dziś powinien przygotować miejsce pod nią.

Miejsce na szkółkę musi być zaciszne, czyli dobrze osłonięte od wiatrów, i powinno mieć dobrą wystawę słoneczną. Ziemia musi być pulchna i w starej kulturze.

Płytką regulówką na dwa sztychy zwykle jest konieczna. Następnie należy ziemię zasilić dobrze przetrawionym nawozem lub kompostem, który przykopujemy możliwie płytko. Czynności te trzeba wykonać koniecznie na jesieni, aby ziemia miała czas zasilić się nawozem oraz dobrze osiąść po regulówce. Dopełniwszy tych warunków, można przystąpić do siewu w pierwszej połowie maja i wysiewać nasiona stratyfikowane, co bardzo przyspiesza kiełkowanie.

Kto posiada już szkółkę morwową, niech nie zapomni o zabezpieczeniu jej na zimę gałązkami drzew iglastych, zmieszanymi z liśćmi.

Drzewkom zdrowym dajemy jesienią dość wysokie kopce, które z nastaniem wiosny należy rozrzucić. Podobnie, jak drzewa owocowe, okręcamy morwy słomą.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

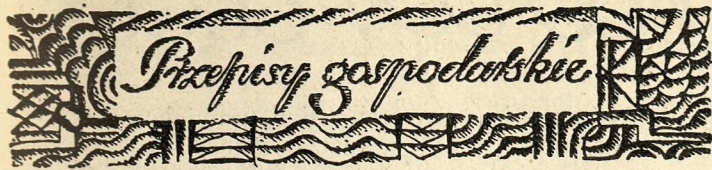
NADZWYCZAJNA OKAZJA DLA NASZYCH PRENUMERATOREK

Chcąc się przyczynić do podniesienia poziomu gospodarczego domów naszych Czytelniczek, zniżamy dla prenumeratorek „Bluszczu” cenę doskonale opracowanej przez p. Elżbietę

„Książki Rachunkowej Kobiety Polskiej“

której prowadzenie znakomicie ułatwia planową gospodarkę domową i jej kontrolę
ze zł. 4-ch na 2 zł., (z przes. poczt. 2 zł. 20 gr.)

Krotę tę należy przesłać do Administracji „BLUSZCZU” — WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 9.



PASZTET Z PIKLINGÓW.

Dwa duże piklingi obrać ze skórki i z ości. Dwie buleczki (dziesięć deka) wymoczyć w mleku i doskonale wycisnąć. Pięć deka pieczarek oczyścić na sucho, wypłókać, pokrajać w paski i udusić w łyżce masła wraz z drobno pokrajaną, dużą cebulą. Wszystko razem przepuścić dwa razy przez maszynkę, lub przepuścić przez maszynkę raz tylko, a potem przetrzeć przez pasztetowe sito. Wbić do tej masy dwa żółtka, jeśli mało słone, dosolić, popieprzyć, wsypać łyżeczkę od kawy łagodnej (rózanej) papryki, wymieszać doskonale. Nakoniec ubić na sztywną pianę pozostałe białka, wymieszać z rybną masą i przełożyć do formy pasztetowej, wysmarowanej grubo masłem i wysypanej tartą buleczką. Upiec pod blachą lub ugotować na parze. W ostatnim wypadku forma powinna mieć szczelnie dopasowaną pokrywą. Po ugotowaniu wyrzucić na półmisek, ostudzić zupełnie i podawać dopiero nazajutrz po przyrządzeniu. Do tego sos majonezowy.

OKONIE W GALARECIE.

Okonie są wyborne w smaku, mają jednak tak dużo ości, że rzadko bywają podawane, jako samodzielne danie; najczęściej gotuje się z nich zupę, a mięso, po starannem obraniu z ości, używa na jaki farsz lub sałatkę. Podaję tutaj sposób użytkowania takich okoni z zupy na smaczną i ładną galaretkę. Z osiemdziesięciu deka okoni (4 sztuki) ugotować z włoszczyzną, cebulą i korzeniami dwa litry czystego rosolu. Litr i ćwierć podać z kartoflami lub kluseczkami na zupę. Trzy ćwierci litra czyli trzy szklanki pozostawić na galaretkę. Dodać sześć listków białej żelatyny, wymoczonej w pierw w zimnej wodzie, zakolorować paru kroplami karmelu na jasno-żółty kolor. Ugotować na twardo dwa jaja, pokrajać w plasterki, tak samo pokrajać marchewkę i pietruszkę, ugotowaną w rosolu, i parę ładnych, zielonych korniszonów. Każdą rybkę rozplatać ostrożnie wzdłuż, starając się jej nie pokruszyć, wyjąć dokładnie wszystkie ości odrzucić łby, ogony i skrzela. W foremce zastudzić na palec grubą warstwę galarety, na niej ułożyć ładnie: jaja, jarzynki, korniszony, listki zielonej pietruszeczki. Na tym garniturze ułożyć rybki, przegowaną skórką w dół, co po zastudzeniu ładnie wygląda. Zalać galaretką, aby objęło, i wynieść na chłód conajmniej na sześć godzin. Przed podaniem wyrzucić na półmisek. Do tego chrzan z octem, lub sos tatarski.

KACZKA PIECZONA Z POMARAŃCZAMI.

Dużą, mięsistą, a niezbyt tłustą kaczkę upiec, jak zwykle. Dwie pomarańcze obrać ze skórki. Żółtą, zewnętrzną skórę pomarańczę skrajać cieniuchno; białą, dolną jej część odrzucić. Tę żółtą skórkę pokrajać drobno i utłuc w moździerzu, dodając surową wątróbkę kaczki. Masę tę zmieszać z tłuszczem i sosem, powstałym przy pieczeniu kaczki, wsypać łyżkę mąki, dolać rosolu lub wody, zagotować razem. Dodać odrobinę pieprzu i pół kieliszka likieru — curaçao, souverain lub innego, pomarańczowego. Zagotować raz tylko. Kaczkę rozebrać; ułożyć na półmisku, obłożyć wokół pomarańczami, pokrajanymi w cienkie płatki. Połowę sosu wylać na kaczkę, drugą podać w sosjerce. Można tak przyrządzoną kaczkę podać w rancie z ryżu, ugotowanego na sypko.

CHLEB „GRAHAMA“ (na żądanie czytelniczki).

Używa się nań mąkę pszenną razową (z jednorazowego przemiału wraz z otrębami). Pół kilo mąki takiej rozczynić dwiema szklankami letniej wody lub mleka i dwoma deka drożdży. Dać podrosnąć w ciepłe. Dodać drugie tyle mąki, lub nawet nieco więcej, aby się ciasto dało dobrze zamiesić; osolić dobrze. Ponieważ chleb taki łatwo i prędko czerstwieje, dobrze jest dodać przy mieszanii łyżkę masła lub szmalcu, co mu doda kruchości. Wyrabiać, aż od rąk odstanie. Ułożyć ciasto w długie blaszane foremki, wysypane mąką. Dać podrosnąć powtórnie. Wsadzić w dobrze gorący piec, jak na chleb pyłowy. Piecze się około czterdziestu pięciu minut.

Pani Elżbieta.

Katar, niemiły gość,
 jest słusnie przedmiotem obaw, gdyż prowadzi często do poważnych chorób. Z tego powodu wskazanem jest, aby już przy najmniejszych oznakach kataru, a również każdego innego zaziębienia, zażywać natychmiast oryginalne tabletki Aspiriny.



Istnieje tylko jedna
ASPIRINA 

Każde opakowanie i każda tabletki oryginalnej Aspiriny opatrzone są znakiem BAYER.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
 rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.
 Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
 Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Chwila dziejowa i kobiety.

Żyjemy w epoce wielkich eksperymentów i do konywanych pod ich wpływem powolnych przemian, tak w psychice indywidualnej człowieka, jak i narodu. Na zewnątrz uwydatnia się to także rewizją dotychczasowych pojęć.

Wyrazem ich jest walka partyj, metody, mające własne, a nie publiczne dobro na celu; zupełnie według recept odwiecznych z czasów „liberum veto”. W bilansie zaś zastój na polu gospodarczo-handlowym, bezrobocie i t. p. klęski, osłabiające państwo materialnie i moralnie. Dalszym następstwem byłby skok w ciemność, do którego dopomogliby przecież jak najchętniej usłudzi sąsiedzi ze Wschodu i z Zachodu.

Na szczęście, ocknęliśmy się. Coraz głośniejszym cchem odbija się po kraju hasło zmiany ustroju państwa, od której, wiemy już dobrze, zależy przyszłość. Dziś wszyscy sumienni politycy polscy, uczeni prawnicy, publicyści i co światlejsi obywatele uderzają na alarm, żądając poprawy ustaw konstytucyjnych. Wołają wielkim głosem o: 1) wzmocnienie władzy Prezydenta Państwa, 2) ściśle określenie kompetencji władzy wykonawczej i ustawodawczej, by Sejm z Rządem wspólnie mógł pracować.

Są to sprawy niezmiernie doniosłe. Stworzyć one powinny ramy, w których życie społeczeństwa i państwa popłynie normalnym torem do potęgi i dobrobytu Rzeczypospolitej.

Jako takie, nie mogą i nie powinny być obojętne kobiecie-obywatelce.

Skłania do tego nie tylko tradycja nadwyraz chlubna, urosła prawie w legendę o bohaterskich czynach polek, nie tylko współpraca kobiety z mężczyzną na wszystkich terenach, ale także fakt, że my, matki, córki, siostry żołnierzy i polityków, liczbą przeważamy mężczyzn.

Przytem, stykając się bezpośrednio z codziennym życiem, oprócz tych, ramowych, spostrzegamy także tysiące innych niedomagań i różnego rodzaju krzywd społecznych, natury zarówno ogólnej, jak i w szczególności, płynących z upośledzenia kwestji kobiecej, mimo ustawowego równouprawnienia, zawsze jeszcze będącej kopcuszką, na szarym końcu stawianym.

Trzeba sobie to uświadomić właśnie dzisiaj, w obliczu wyborów, które do urny, gdzie ważyć się będą losy całego kraju, prowadzą nasz, imponujący liczbą, świat kobiecy. Świadomość zaś każda pociąga za sobą i obowiązki, narzuca ciężar odpowiedzialności duszy, która choć raz drgnęła bólem z powodu własnej, czy cudzej krzywdy. Odpowiedzialność za te obowiązki w ogromie i wartości równa się męskim zadaniom, przewyższa je nawet owym specyficznym kobiecym sentymentem.

To właśnie głoszą hasła „integralnego feminizmu”, który ze wzgardą odrzucił naśladownictwo mężczyzny, każąc kobiecie być tylko towarzyszką, równą mu intelektem i mocą ducha.

W myśl owych wskazań, organizacje kobiece opowiedziały się już za zmianą Konstytucji, a równocześnie ogłosiły ideologję własną, w całym szeregu postulatów treści ogólnej.

Wiele tych zagadnień rozpatrywał swego czasu „Bluszcz”. Poruszane były również na łamach „Naszej Mównicy”, np. rozszerzenie ustawy o ochronie

macierzyństwa i pracy nieletnich, powiększenie liczby inspektorek pracy, kwestja dzieci nieślubnych, przerywania ciąży, zwalczanie żebractwa i włóczęgostwa, prostytutcji, alkoholizmu, handlu żywym towarem, równość płac i sprawa mieszkaniowa.

Dalej wysuwa się także: ożywienie wytwórczości, usunięcie bezrobocia, rozwój organizacji spółdzielczych, sprawa awansów i mianowań kobiet w służbie państwowej, ustawa o służbie domowej; wkońcu najważniejsze: zrealizowanie pełnego równouprawnienia kobiet zamężnych.

Jak widzimy, rozległy to bardzo program, który, aby stał się czynem, wymaga wysiłku milionów zorganizowanych kobiet.

Tu konieczna jest praca nieustanna, od dziś, od tej właśnie godziny rozpoczęta.

Praca wszechstronna, zarówno indywidualizm, jak i zbiorowość biorąca pod uwagę, a więc nad sobą samą i dla drugich, w kierunku: 1) uświadomienia obywatelskiego; 2) uspołecznienia mas kobiecych ze wszystkich warstw; 3) zrzeszenia ich w karnym, celowym wysiłku dla ogólnego dobra.

Wtedy, bierna obecnie w społeczeństwie większość kobiet stanie się potęgą, budującą dobro jednostki i państwa.

To przykazanie twórczego, harmonijnego czynu stawia Polsce Marszałek Piłsudski, pod tem hasłem Wodza Narodu powinnyśmy iść do urny wyborczej

Zofja Persowska — Byteń

Stosunek kobiety do zagadnień politycznych.

Wojna europejska stworzyła okres, w którym zmagają się najróżnorodniejsze hasła i poczynania społeczne, mające na celu dążność do uszczęśliwienia ludzkości. Próby naszych sąsiadów, zmierzające do zbudowania nowych form życia społecznego, oraz do narzucenia całemu światu nowego społecznego systemu zapomocą mordów, fałszów, przekupstwa, podstępów i obłudy, muszą wywołać uczucie bólu w każdej jednostce. Obserwując dążenia naszych sąsiadów, widzimy, że symbole pracy stały się narzędziem wyrafinowanych intryg, które godzą w interesy naszej Ojczyzny przez zatrute pociski propagandy wywrotowej, zwłaszcza w obecnym okresie przedwyborczym. Intrygi mają jedynie na celu wywołanie popłochu i zdenerwowania, wywierając ujemny wpływ na społeczeństwo, a tem samem zagrażają podstawom bytu, paraliżując wszelką twórczą pracę, tak konieczną dla naszego młodego Państwa.

Kobieta polska wobec tych faktów nie może zachować się obojętnie, nie może i nie powinna być tylko biernym widzem, spokojnie wyczekującym, co los przyniesie. Jak żołnierze szkolą się do walki z wrogami, tak i my musimy ciągle szkolić się i uzbrajać, aby odróżnić złą drogę od dobrej i umieć wytknąć cel swoich dążeń politycznych. Przeciw zatrutym pociskom propagandy wywrotowej my, kobiety, musimy przywdziać nieprzenikniony pancerz wiary i zasłonić się przyłbicą przekonania.

Jakiemi drogami dążyć do wyrobienia będących w mowie przekonania i czy to jest naprawdę tak ko-

nieczne? zapyta niejedna z czytelniczek. Odpowiem krótko. Istnieje powszechna opinja mężczyzn, że polityka nie dla kobiet, że kobieta nawet nie powinna się wtrącać do zagadnień politycznych etc. Inni znów twierdzą, że kobieta wogóle polityki nie lubi i że antypatja jej dochodzi do tego, iż wogóle nie wie nic o faktach, które znać należy. Uważam i twierdzę z całą stanowczością, iż musimy położyć kres podobnym uwagom. Praca polityczna jest bardzo ważkim czynnikiem w naszych obecnych warunkach. Liczebnie w Polsce stanowimy połowę ludności i w połowie musimy ponosić odpowiedzialność za losy Państwa, musimy więc wziąć na siebie połowę obowiązków, przypadających w udziale społeczeństwu polskiemu. Kobieta-polka winna być świadoma swych praw i obowiązków, które do życia publicznego zdołają wnieść nowe wartości.

Uświadczenie polityczne nazwałabym rękomią do walki o prawa kobiety. Jak zaznaczyłam wyżej, tworzymy w Polsce połowę ludności, więc z tego wynika, że nie możemy zajmować pośledniego miejsca. Musimy dążyć, aby w sejmie była większa ilość posłanek, co wpłynie na poprawę dotychczasowych stosunków w świecie kobiecym. W chwili obecnej leży przed nami ogrom obowiązków, dużo mamy do zrobienia; lecz czy jesteśmy dość świadome? Niestety, nie. Chwilowe niepowodzenia muszą być dla nas bodźcem do dalszych, realnych czynów, a piękne hasło: „przez szczęście Ojczyzny do szczęścia jednostki...“ winno nam przyświecać. Pamiętajmy o tem, że kobiety, wchodząc w życie polityczne, jako jednostki, obdarzone żywą intuicją, gorącym entuzjazmem, wrażliwością i głębokim poczuciem sprawiedliwości, tem samem wnoszą doń pierwiastek gorliwej pracy nad dobrobytem państwa. Od dawna znana jest praca kobiet na polu politycznym i społecznym. Były to jednak nieliczne zastępy. Na wzór tych dzielnych jednostek cały ogół kobiet polskich niech skoncentruje swe siły w pracy nad swem politycznym wykształceniem.

Nie wolno nam być laikami i obojętnie patrzeć na otaczające nas wydarzenia; nie wolno być biernymi widzami, pogrążonymi w chaosie, lub z grymasem dowodzić, że „polityka nie dla mnie, to mnie nie zajmuje“. Jest to zbrodnia względem własnego Państwa, jest to czyn wysoce niepatriotyczny. Często słyszę takie zdanie: „Ja w polityce nic się nie orjentuję, głosować będę tak, jak mąż (brat, lub ojciec)“. Jest to błędna interpretacja. Tu powinno wchodzić w grę przekonanie osobiste i własny sąd na sprawę. Zdania niby wielkich patriotek, wyrażające się w słowach: „kocham Polskę i pragnę Jej potęgi“ brzmią groteskowo, są tylko czczą paplaniną, jeżeli czynem nie wykażemy swych uczuć patriotycznych. Mickiewicz mówi: „W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę“, tem samem wzywa nas do wydajnej pracy. A więc, do czynu staśmy w zwartym szeregu!

Pola Parłomska — Krasnystaw

Przygotowanie do życia małżeńskiego.

Myśl, rzucona przez p. W. B. w „Naszej Mównicy“, dotycząca przygotowywania do pożycia w małżeństwie, zasługuje, jako bardzo aktualna, na to, aby nie spadła z porządku bieżącej dyskusji.

Muszę zaznaczyć zaraz na wstępie, że temat ten interesował mnie już od dość dawna i często rozstrząsałam go w rozmowach z mężem; stwierdziłam bowiem, że ani gimnazjum, ani szkoła gospodarza, które ukończyłam, nie dały mi odpowiedzi na wiele zagadnień życia. Fakty też wykazują u wielu ludzi, wchodzących w związki małżeńskie, nieznaną zasad-

niczych podstaw, na których winno opierać się współżycie. Dlatego słyszy się obecnie tak wiele o niesnaskach w pożyciu małżonków, a rzadko kto docieka właściwych przyczyn tego stanu rzeczy i szuka środków zaradczych.

Mniej zadziwiają wypadki złego pożycia osób, którym przy pobraniu się przyświecały jakieś uboczne cele (np. zdobycie przez małżeństwo majątku, dobrego stanowiska i t. p.); bardziej natomiast ubolewania godne są takie wypadki, gdy młodzi pobierają się na podstawie wzajemnej sympatji i dobrych chęci, a zrealizować współżycia w sposób wzorowy nie umieją. Doświadczenie uczy, że nietylko chęci, lecz również umiejętność decydują o typie życia.

Dla poprawy niezadawalających stosunków w małżeństwach na przyszłość byłoby ze wszech miar wskazane wprowadzić pewne reformy w wychowaniu i kształceniu młodzieży. Rodzice, jako najbardziej do tego powołani, mogliby wzorem przykładowego postępowania i udzielaniem wskazówek dorastającej młodzieży wpajać w nią poszanowanie ideałów rodzinnych i należyte zrozumienie przeznaczenia i zadań rodziny.

Ponieważ zaś niełatwą jest rzeczą kształtować poglądy młodych umysłów i nie wszyscy rodzice mają dostateczną wiedzę i dar „zarażania przykładem“, narzuca się potrzeba naukowego traktowania tej, tak doniosłej, sprawy w szkołach, przy pomocy ludzi fachowych.

Już szkoła średnia nadaje się do zrealizowania części programu przygotowawczego, zakreślonego dla przyszłych założycieli rodziny. W najwyższej klasie należałoby uzupełnić wykłady, w zastosowaniu do potrzeb życiowych, z dziedziny prawa, ekonomii społecznej i higieny; nadewszystko zaś należałoby zreformować naukę psychologii w kierunku umożliwienia wzajemnego poznawania i zrozumienia właściwości psychicznych płci. Dla szerzenia tych wiadomości nadaje się szkoła średnia, a w niej klasa najwyższa, z tego względu, że ogarnia ona młodzież, fizycznie i umysłowo już dojrzewającą i to w licznych zastępach, których nie mogłaby ogarnąć szkoła specjalna, z natury swej przeznaczona dla jednostek, szczególnie żadnych tego rodzaju wiedzy, a dająca się założyć tylko w środowiskach, mogących rozporządzać potrzebami na ten cel środkami finansowymi i odpowiednim personelem profesorskim.

Specjalna szkoła, mająca przygotować do współżycia w małżeństwie, realizowałaby program w zakresie znacznie szerszym i bardziej szczegółowym, niż szkoła średnia, tak, jak to projektodawczyni p. W. B. w swych uwagach zaznaczyła. Taka właśnie szkoła specjalna przydałaby się bardzo dla osób dojrzałych, u których myśl o ożenku, względnie o zamążpójściu, już się skryształizowała, a nawet dla małżonków, chcących oprzeć swój związek na lepszych podstawach, i byłaby przeznaczona wogóle dla osób inteligentnych, bez względu na ich census naukowy. Przy angażowaniu profesorów do takiej szkoły należałoby położyć nacisk nietylko na fachowe opanowanie przez nich przedmiotu wykładów, lecz także na metodę ujęcia zagadnień, aby umysły ciekawych słuchaczy czerpały z nich zapał do życia i wolę do pokonywania trudności.

Można żywić pełną ufność, że taka szkoła, przez szerzenie racjonalnych poglądów na obowiązki małżonków w rodzinie i podawanie zdrowych zasad współżycia, sprawiłaby niechybnie, iż miejsce dotychczasowych improwizowanych i niedobrych, zajęłyby małżeństwa, świadome swego powołania i uzbrojone w środki do osiągnięcia szczęścia rodzinnego.

Sądzę, że kobiety powinny utworzyć komitet założycielski, któryby przyciągnął również mężczyzn i

wspólnymi siłami przystąpił do urzeczywistnienia rzeczowej myśli. Szkoła taka miałaby niewątpliwie powodzenie.

Wkońcu zaznaczam, że wobec ważności tej sprawy nie tylko dla kobiet, lecz także dla mężczyzn, byłoby pożądane, aby i oni wypowiedzieli się na ten temat w „Naszej Mównicy“.

Irena Brzuzora — Warszawa

Jak czytamy (w odpowiedzi p. N. Jastrzębskiej)

W dzisiejszych warunkach ekonomiczno-społecznych jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że bez względu na to, w czyje ręce powierzona będzie propaganda książki, książka ta u nas, jeszcze przez czas dłuższy cieszyć się nie może nabywcami, na miarę innych krajów. I nie wiem, czy można z taką bezwzględnością twierdzić, jakoby „złe“ czytanie kobiet było główną przyczyną utrudnienia produkcji literackiej. I nie wiem skąd dalsze wnioskowanie, według którego książek nie kupuje się u nas tylko dlatego, że, kto nie umie czytać (w znaczeniu doboru i t. p.), ten propagatorem książki być nie może. I nie wiem, skąd zarzuty, czynione społeczności kobiecej, i składanie na nią odpowiedzialności za zły rozwój stanu czytelnictwa?

Niedawno jeszcze, pracując zagranicą i będąc w tych samych warunkach, w jakich jestem dzisiaj, mogłam kompletować sobie aktualności pedagogiczne (no i inne), dziś nabycie każdej książki okupować muszę czynieniem luki w najniezbędniejszych potrzebach domowo-rodziny.

Czy dużo więc można kupować, przy takiej koniunkturze, nie będąc znowu wcale tak złym czytelnikiem?*

A zatem, przyczyny małego pokupu (i słabego rozwoju czytelnictwa) tkwić muszą gdzieś indziej, nie w braku zamiłowania do czytelnictwa. Z jednej strony w niezamożności, z drugiej w obojętności tych, którzy mają na wiele innych rzeczy, prócz właśnie książki.

Możemy pogodzić się całkowicie lub częściowo z tem, że trudno nam dzisiaj nabywać książki, wobec tego winniśmy uciekać się do wypożyczenia ich z czytelni publicznych. I tutaj właśnie wyteńczy należy większość naszych starań o rozwój zdrowego czytelnictwa. Masy, czytające dzisiaj byle co i byle jak, kierować należy do źródeł prawdziwych przyjemności. Amatorów bylejakiego czytania zachęcać trzeba nieustannie do korzystania z wartościowych bibliotek i czytelni, gdzie już tylko do odpowiednio wyszkolonego bibliotekarza należeć winna dalsza opieka i wyuczucie potrzeb czytelników.

Nie mogę również zgodzić się z wywodami, dotyczącymi sprawy czytania „rzeczy nowych“. Wszakże trzeba nam rozróżnić ludzi, umiejących czytać, którzy znają drogi i znaleźć je potrafią, od tych, którzy ani krytyką w czasopiśmie, ani osobistą orientacją, kierować się nie będą. Stoję więc na stanowisku, że czytelnie publiczne i biblioteki powinny stanowczo zająć się gorliwiej swymi czytelnikami. Pierwszy etap: organizacje, związki i wszelkiego rodzaju stowarzyszenia muszą wyteżać swe siły w kierunku rozbudzenia i wpojenia w swych członków zamiłowania i potrzeby czytania celowego, podając im odpowiednie wiadomości. Rozbudzeni, uświadomieni, chętniej garnąć się będą do bibliotek i czytelni.

Drugi etap: biblioteki i czytelnie nie będą kończyły swych powinności na urzędowym wydawaniu

*) Sz. Autorka nie bierze pod uwagę, że zagraniczne książki właśnie dlatego mogą być tanie, że rozchodzi się ich wielka ilość. — (Przyp. Red.)

książek swym czytelnikom, lecz zajmą się perjurycznym organizowaniem odczytów, wieczorów informacyjnych dla poszczególnych działów zainteresowań czytelników, przez co wejdą w ściślejszy kontakt z nimi, będzie wtedy więcej znajomości psychologii czytelnika, jego zainteresowań, poszukiwań, znajdzie się rada i pomoc.

Julja W. — Łuck

Jak propagować czytelnictwo (w odpowiedzi p. N. Jastrzębskiej).

Autorka artykułu pod tym tytułem prosi o wypowiedzenie się w tej kwestji. Zgadza się z nią w zupełności, że tak, jak jest z czytelnictwem kobiecym, jest źle, bardzo źle. W czytaniu musi być system i cel. Celem jest rozszerzenie umysłowości, zyskanie walorów, bez których kobieta zginie, wraz z całym swym równouprawnieniem. A system? Proponuję taki: Lekturę podzieliłabym w ten sposób: a) pisma, b) książki.

Pisma należy czytać: przynajmniej jeden dziennik, stale, codziennie; przynajmniej jedno czasopismo kobiece; jeden tygodnik, czy miesięcznik polityczny; jedno czasopismo zawodowe (matka — pedagogiczne).

Książki podzielę na:

1) te, których się używa stale, a więc słownik języka polskiego (nie doceniamy wartości słowników), lub encyklopedia; książka kucharska; dzieła z zakresu wychowania fizycznego i moralnego dzieci; podręcznik domowego lecznictwa i t. p.;

2) te, które się czyta dla rozrywki, a więc poezje (któż je dziś czyta?) i powieści;

3) te, które się czyta dla nauki, dla utrzymania poziomu wykształcenia lub jego podniesienia. Najlepiej mieć na warsztacie jedną książkę „poważną“ i jedną „rozrywkową“.

To jest odpowiedź na pytanie, co czytać? A teraz, jak czytać? Każdy wie: uważnie, z korzyścią. Bardzo pomocny tu jest notes i ołówek. Robić spis książek czytanych: autor, tytuł, krótka ocena. Przy czytaniu dzieł naukowych robić w notesie wyciągi, notatki.

Ignorancja kobiet musi się skończyć. Inaczej nie utrzymamy się na poziomie współczesnego życia.

Musimy mieć wykształcony ogół, nie tylko jednostki.

Częstochowianka

Nasza „Rodzina“ pracuje.

Prowincjonalne oddziały „Rodziny Policyjnej“ wykazują dużo inicjatywy i energii. Koło powiatowe w Żółkwi postarało się, aby dzieciom policjantów zapewnić spędzenie kilku tygodni na letnisku. Zrobiono to domowym sposobem, bez kosztów, dzięki ofiarności członkiń Koła. Kilkoro maleców, najbardziej potrzebujących leczniczego działania wsi, znalazło bezpłatne letnisko, przyczem w liczbie pań, które gościnnie przygarnęły dzieci, były zarówno żony oficerów, jak podoficerów i szeregowców policji.

Koła rozwijają swą działalność zarówno w kierunku ekonomicznym (np. w Jarosławiu, gdzie założono hodowlę jedwabników), jak wychowawczym, w tym specjalnie wydatnie. W roku bieżącym otwarto nowe przedszkole dla 20 dzieci w Kostopolu, oraz dwie świetlice: w Kostopolu i Zdołbunowie.

Członkinie „Rodziny“ nie zaniedbują również działu kultury i rozrywek; bardzo czynne jest Koło krzemienieckie, które zorganizowało sekcję teatralną. Zespół ten, prócz Krzemieńca, występować będzie w Szumsku, Wiśniowcu, Wyszogrodzku i Katenburgu. Drugi zespół dramatyczny powstał w Dobromilu, gdzie wieczór teatralny, złożony z „Dwóch bliźni“ Fredry i „Generalnej próby“ Raorta, cieszył się wielkim powodzeniem.

J. W. — Żółkwoia